TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

No. 48 | Nowy Jork, 28 listopada, 1943 — New York, 21, N. Y., November 28, 1943 | Cena 10 ct.

ZENON KOSIDOWSKI

N I G D Y

Wcześniej niż przypuszczaliśmy zaczyna gasnąć radosna, bezkrytyczna egzaltacja z powodu paktu moskiewskiego. Kolejne oświadczenia Hulla coraz wyraźniej ujawniły złowróżbną rzeczywistość. Dziś już nie może być wątpliwości, że pakt moskiewski pominął małe narody Europy Wschodniej, a prawa Polski pozostawił na pastwę molocha rosyjskiego, spowijając ten fakt w welony mętnej frazeologji dyplomatycznej. Uczciwa część społeczeństwa amerykańskiego zamilkła zrazu w zakłopotaniu, by niebawem dać wyraz rozczarowaniu w protestach i szczerej krytyce. Do wyjaśnienia sytuacji przyczyniło się niemało brutalne oświadczenie posła rosyjskiego w Meksyku Umańskiego. Dziś już bodaj dziecko rozumie, jak Moskwa interpretuje sobie postanowienia paktu w odniesieniu do Polski. Aneksja połowy Polski, mająca jedyna prawną podstawę w uznaniu jej przez Niemcy hitlerowskie, nie została przekreślona, a w tej szczątkowej części, która z łaski Stalina ma rzekomo stanowić "wielką niepodległą Polskę" grozi nam plebiscyt, zainscenizowany pod okiem rosyjskich wojsk okupacyjnych.

My, Polacy, oszołomieni zrazu tem niezwykłem widowiskiem, przecieramy ze zdumieniem oczy. Nie chce się pomieścić w głowie, by wielkie mocarstwa wyrzekły się w tak bezceremonjalny sposób swego słabszego, lecz wiernego i spokrewnionego ideowo sojusznika. Niepodobna, by wielkie, szlachetne mocarstwo dało się urzec do tego stopnia przez siłę militarną wschodniego dyktatora, by w chwili decydującej schować do kieszeni na później swe najświętsze zasady ideowo-polityczne. Jeżeli odwlekanie i przemilczanie sporu rosyjsko-polskiego miało być taktyką polityczną, to jest to taktyka z wielu względów fatalna. Skoro dziś walcząca ciężko i korzystająca z pomocy amerykańskiej, Rosja nie została osadzona w swym pochodzie imperjalistycznym, tem bardziej nie nastąpi to później, gdy armje Stalina chwycą za gardło całą Europę. Czyż naprawdę świat jest tak zaślepiony, iż nie widzi, co kryje się dla demokracji zachodnich w pozornie lokalnych roszczeniach Stalina? Nad ludzkością zbierają się chmury najbezwzględniejszego w dziejach, wojującego imperjalizmu, który na gruzach hitlerowskich Niemiec rzuci wezwanie całemu światu. Jest zadziwiającą rzeczą, jak wydarzenia polityczne powtarzają się w ostatnich latach, niby fraza rytmiczna w innej tonacji. Czyż Moskwa ma być drugiem Monachjum, państwa bałtyckie nową Czechosłowacją, a Wschodnia Polska ponownym Pomorzem i Gdańskiem? I czyż znowu Polsce ma przypaść ten straszliwy trud, by zbudzić narody z odrętwienia i błędu? Armje rosyjskie coraz bliżej są granic polskich, przeto wymijające, odwlekające metody dyplomatycznych kuluarów są straszliwym ciosem, zadanym tym miljonom męczenników polskich w kraju, którzy przetrwali niewymowne prześladowania, walczyli i ginęli dla tej jednej, w snach i marzeniach pieszczonej chwili: kiedy będą mogli witać przyjazne, sojusznicze pułki, przynoszące im wyzwolenie z piekła. Dziś Rosja wciąż jeszcze nie chce nawiązać stosunków dyplomatycznych z Polską. W jakiej przeto roli wejdą pułki rosyjskie do Polski? Czyliż znów ma powtórzyć się Wilno i Lwów z roku 1939go? Obowiązkiem Aljantów jest, by takiej możliwości zapobiec natychmiast, nie jutro lecz dziś, jeżeli nie chcą być mimowolnymi wspólnikami nowej straszliwej tragedji.

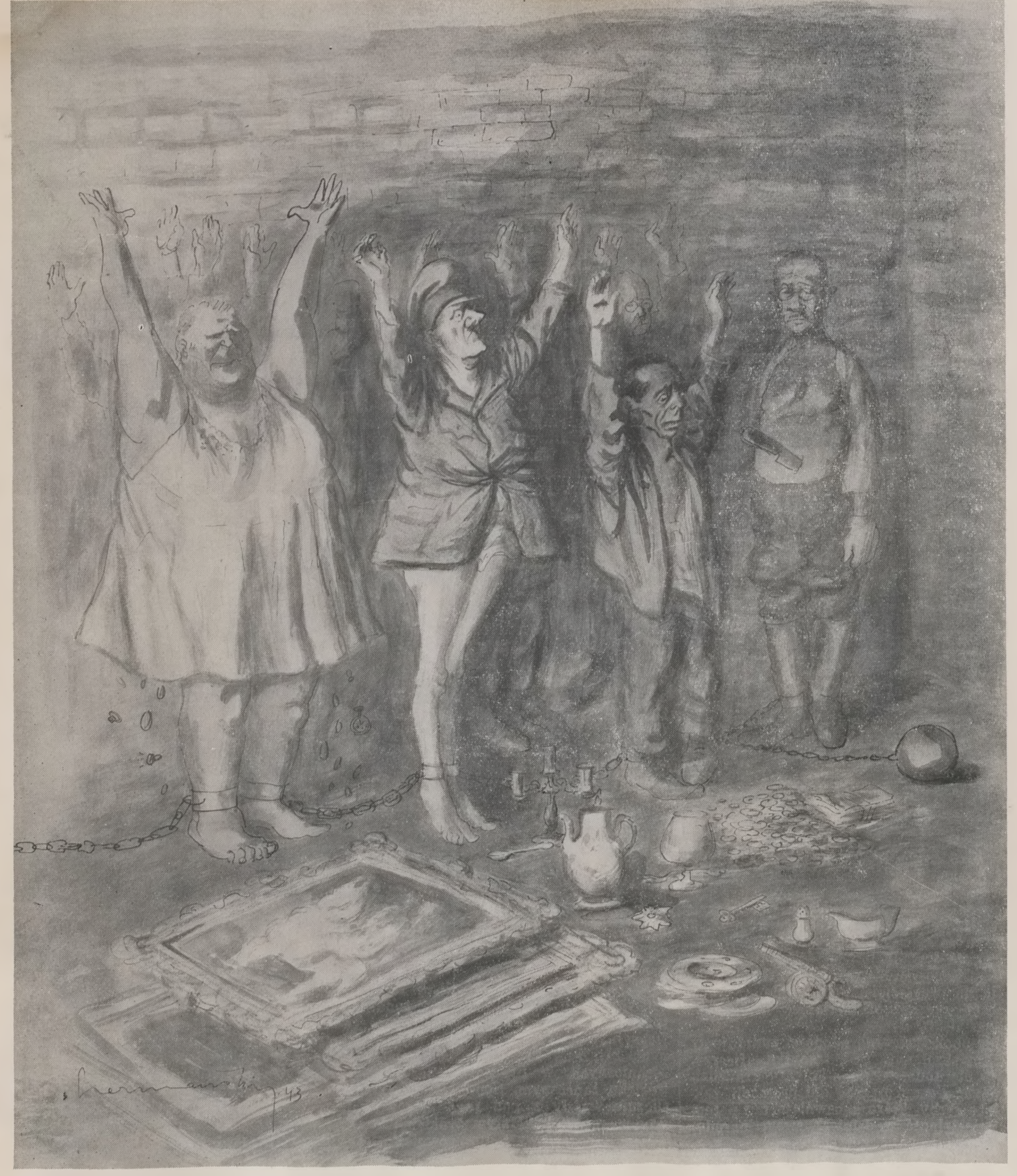
W tym właśnie fakcie leży istota rzeczy, by sprawa nie była omijana i przewlekana w oportunistycznej nadziei, że przyszłość to jakoś ułoży. Bo właśnie wobec sytuacji militarnej w Rosji czynnik czasu, tak uderzająco wzgardzony w pakcie moskiewskim, ma dla każdego Polaka wymowę tragiczną. Na rozwiązanie dramatycznego sporu w Moskwie czekali wszyscy Polcy w kraju i na obczyźnie, czekali walczący z okupacją niemiecką bojowcy, weterani z pod Kutna, z Francji, Narwiku i Tobruku, lotnicy i marynarze z Anglji, kobiety i dzieci, wygnane z domów i czekające końca poniewierki na bezkresnych obszarach Unji Sowieckiej. Dlatego czynnik czasu powinien mieć dla Aljantów znaczenie obowiązku moralnego. Ale niestety te wyglądające zbawienia i otuchy miljonowe rzesze uznojonych bojowników o najświętsze prawa człowieka nie otrzymały odpowiedzi. Z enigmatycznych formułek prawnych paktu moskiewskiego powiało ku nim lodowatym chłodem, złowrogiem przemilczeniem imienia Polski, zasadzką przemyślnych konstrukcji stylistycznych. Tego prostego, utęsknionego, zrozumiałego i zdrowego słowa nie usłyszeli, natomiast dowiedzieli się, jak jeden z dygnitarzy tłukł podczas bankietu talerze z nadmiaru miłości do Rosji.

Polacy nauczyli się w ostatnich latach znosić wszelkie doświadczenia. Przyznać trzeba, że najtrudniej poszło z lekceważeniem i obojętnością sojuszników, którym się wierzy i którym pozostało się wiernym, widząc w nim uosobienie własnych ideałów i zasad. Ale mimo rozczarowań Polacy nigdy nie wpadali w histerję. Na wszelkie naiwne upojenia, łatwowierność i złudzenia pobożnych życzeń spoglądają ze spokojem bogatszego w przeżycia człowieka. Wiedzą, że przecież wśród tych falowań egzaltacji i błądzeń zwyciężyć musi prawda jedna i niewątpliwa. Uczciwy, ideowy naród amerykański był zawsze szczęśliwy i potężny, gdy swe wierzenia polityczne wyrażał w prostych, zrozumiałych i bezkompromisowych słowach. Wierzymy, że niebawem odnajdzie swą prostą drogę w gęstwinie obecnych rozgrywek dyplomatycznych, tą drogę, która naprzekór imperjalistycznym zakusom przypadkowego partnera wojennego powiedzie narody Europy do lepszej przyszłości.

Zbliżające się spotkanie Roosevelta Churchilla i Stalina wykaże, czy pakt moskiewski był tylko epizodem bez znaczenia, czy też jest zapowiedzią wielkiej tragedji, jaka czeka Polskę i Europę. Polacy nie tracą nadziei, że w kulminacyjnym akcie rozwijających się rozmów z Rosją odzyskają nareszcie swoje najprymitywniejsze prawo sojusznika: by uszanowano nienaruszalność ich ojczyzny prawnie i faktycznie. Naród polski przyjaźnie powita wkraczające do jego kraju pułki rosyjskie, gdy wejdą w roli przyjaciół. Natomiast mimo poniesionych już przeogromnych ofiar walczyć będzie z każdym najeźdźcą, skądkolwiekby on przyszedł i jakiekolwiek miałby sankcje i upoważnienia.

Na wszelkie samowolne, bez ich udziału powzięte postanowienia dyplomatyczne, Polacy odpowiedzą tak, jakby każdy stary, dumny ze swej kultury i historji, zaprawiony w walkach naród odpowiedział: Nigdy. A w tem słowie "nigdy" byłaby zapowiedź — nie pokoju i sprawiedliwego ładu — lecz nowych wojen i nowych wstrząsów naszej cywilizacji.

TEKA CZERMAŃSKIEGO



"Unconditional Surrender"

OLGIERD CZARTORYSKI

OSKARŻAM WSZYSTKICH NIEMCÓW

Wypowiedź, którą tu podajemy jest zakończeniem niezwykle ciekawych pamiętników księcia Olgierda Czartoryskiego, które niedługo wyjdą w New Yorku w języku angielskim. Autor, ziemianin z Poznańskiego, spokrewniony przez żonę ze wszystkimi dworami europejskimi, miał okazję stykać się w różnych okresach życia z Niemcami ze wszystkich sfer i partji. Poznał ich naprawdę, gdy w roku 1939 aresztowany jak większość ziemian poznańskich, wyzuty z ziemi i mienia, męczony w obozie koncentracyjnym, cudem niemal uniknął męczeńskiej śmierci, która spotkała wszystkich jego sąsiadów i przyjaciół. Dlatego głos Olgierda Czartoryskiego, ostrzegający przed wszystkimi Niemcami, ma szczególną wagę i wymowę.

Wojna jest wygrana. Ale baczność! Musimy zrozumieć i ciągle powtarzać to sobie, że zwycięstwo na polu bitwy nie będzie zwycięstwem ostatecznem i będzie tylko na drodze ku niemu etapem. Zwycięstwo decydujące, który wytyczy los ludzkości na przyszłość, musi się rozegrać i być odniesione na konferencji pokojowej. W roku 1918 wojna rozegrała się właściwie w Macedonji, warunki zawieszenia broni podyktowane zostały w wagonie Marszałka Focha w lesie w Compiègnie, pokój z Niemcami podpisany został w Wersalu. I wkrótce potem jego owoce zostały zmarnowane. Nie można więc powtarzać złowrogich błędów z Wersalu.

Przedewszystkiem nie należy zasiadać i podpisywać pokoju w żadnej idyllicznej miejscowości w okolicach Paryża, Londynu albo w Palm Beach. Poniósłszy wojnę do samego serca Niemiec, należy zająć zbrojnie Berlin i zainstalować się tam, jeśli oczywiście coś z niego pozostanie, podyktować nieodwołalnie warunki pokoju i następnie pozostawać tam czas jakiś, ażeby Niemcy zrozumieli, że tym razem jest to sprawa serjo, że całe Niemcy, winne bez wyjątku, muszą zapłacić tak aby nigdy nie mogły powtórzyć swego straszliwego ponurego dzieła.

Należy odsunąć od stołu konferencji pokojowej i wyłączyć z niej wszystkich przeklętych "filantropów" i pacyfistów za wszelką cenę, owych naiwnych idealistów i zbankrutowanych polityków, którzy zechcą na nowo tam się wcisnąć, jak również należy od tej konferencji odsunąć hordy podejrzanych bankierów, oszustów i aferzystów, międzynarodowych szantażystów, którzy zalegną korytarze, wcisną się pomiędzy rokujących, będą wszędzie, gdzie ich być nie powinno aby kupić na wagę złota koncesje naftowe albo inne, opinje i sumienia, i na swoją korzyść wytyczyć przyszłe nowe granice.

Warunki pokoju muszą być narzucone. Wypadki dowiodły, że z Niemcami nie można bawić się w filantropję i wykonywać wobec nich pięknych gestów zwycięzcy, który pozostawia szablę zwyciężonemu, ryzykując, że ten rozpruje mu brzuch przy pierwszej okazji. Jak już powiedziałem, nie można wobec Niemców zajmować postawy dżentelmana, bo znaczyło by to kopać grób samemu sobie.

"Fair play", gesty dżentelmeńskie będą zawsze rozumiane przez naród niemieski, a zwłaszcza przez jego kierowników, jako dowód słabości, powiedziałbym nawet strachu. Te gesty nie zaimponują im bynajmniej, kpią oni bowiem sobie z nich w żywe oczy i gardzą niemi. Nagroda temu, który znajdzie w dziejach Niemiec od średnich wieków aż po dzisiaj, jeden choćby gest dżentelmeński wobec zwyciężonego! Jedyny argument który dla nich się liczy jest to i będzie zawsze i jedynie siła. Będąc od samego swego początku brutalami, szanują oni u innych tylko siłę brutalną. Trzeba, aby świat to zrozumiał nareszcie.

Należy więc śpiesznie opanować dzikie zwierzę, wpakować je do klatki, wyrwać mu pazury i gruczoły z jadem, którym od wieków zatruwa wszystkich naokoło. Jest to obowiązek wobec ludzkości — unieszkodliwić bestję raz na zawsze.

I przytem niezbędne po temu środki nie powinny być zastosowane jedynie wobec t. zw. odpowiedzialnych ale względem całego narodu niemieckiego, nawet gdyby przypadkiem kilku niewinnych miało z tej racji cierpieć. Tem gorzej! A zresztą nie będzie ich zbyt dużo. Należy sobie przypomnieć i zdać sprawę, że wojna ta jest to od roku 1860 pięta, wydana przez Niemców ich spokojnym sąsiadom, że strumienie krwi płyną od czterech lat, że liczba ofiar niezależnie od wojskowych padłych na polach bitew idzie w miljony mężczyzn, kobiet i dzieci, że narody całe poddane w niewolę, skazane, torturowane do śmierci, zagrożone są zupełnem wytępieniem, że tragiczny rachunek ruin i strat, grabieży i kradzieży dokonanych przez Niemców nie będzie nawet mógł być ściśle obliczony, na tyle przekracza on astronomiczne cyfry, że nieocenione skarby kultury, dziedzictwo całe wielu pokoleń, zostało świadomie zniszczone zniknęło na zawsze.

Otóż owo ohydne dzieło dokonane zostało **przez cały bez wyjątku naród niemiecki.** To nie przywódcy nazistowscy jedynie, to wszyscy Niemcy mordowali, masakrowali, kradli, gwałcili, niszczyli idąc w tem za odwiecznym przykładem swych ojców i przodków, prowadzonych niegdyś przez Barbarossów, Fryderyków, Wilhelmów, jak dzisiejsi prowadzeni są przez Hitlera. Hitler nie jest bynajmniej jakimś fenomenem, jest tylko nowym i ulepszonym wydaniem dawnych Germanów, Hohenstaufów, Margrawów, Hohenzollernów i odbija tylko zgniliznę, brutalność i wszystkie inne zboczenia swej rasy, przedewszystkiem zaś butę, ową butę, która każe wierzyć Niemcom, że wobec tego, który wydaje się słaby i miłujący pokój, można sobie pozwolić na wszystko.

Ci, którzy będą się starali przeprowadzić linję podziału pomiędzy narodem niemieckim i odpowiedzialnemi jego kierownikami, są albo zbrodniarzami albo niebezpiecznymi ignorantami. I należy bać się zarówno jednych jak i drugich.

Myślę, że mam prawo ubiegać się o wątpliwy zaszczyt, iż znam Niemców. Stykałem się z nimi przeszło 40 lat i dlatego mogę uważać się za eksperta w ich sprawie.

Znam ich, znam tych panów z Berlina: Hessów, Goeringów, Goebelsów, Fricków i Franków, Greiserów, Leyów, Darrów, Rosenbergów et consortes, którzy są poprostu gangsterami i bandytami z szerokiego gościńca, z czem się zresztą bynajmniej nie kryją. Z tymi przynajmniej wiadomo od pierwszej chwili, czego się należy trzymać.

Tylko, że poza nimi, jest legjon innych: profesorów, "geopolityków", wysokich urzędników, wojskowych, ludzi interesu, intelektualistów, którzy pracują po cichu za kulisami i których nawet nazwisk się nie zna. Nie są to broń Boże pangermaniści, są nawet nieraz przebrani za apostołów powszechnego pokoju. A dalej wielcy panowie niemieccy: diukowie i książęta, o dźwięcznych i pompatycznych nazwiskach, ozdoby almanachu gotajskiego, o niepozszlakowanych manierach, ambasadorzy i ministrowie pełnomocni, w białych rękawiczkach, przepasani wielkiemi wstęgami, attaché kulturalni ambasad, których wszystkich razem nazwałbym dżentelmanami-włamywaczami w rodzaju von Papena, kreatury najwstrętniejszej ze wszystkich Niemców.

Ten to właśnie dżentelman zebrał niezbędne fundusze wśród wielkich przemysłowców jak Thyssen, ażeby posadzić w siodle Hitlera, to on narzucił się następnie na kanclerza staremu i zidjociałemu marszałkowi Hindenburgowi. To on, prezes Unionu, najbardziej feudalnego klubu w Berlinie, wielki i żarliwy katolik, spieszący co niedziela na mszę z wielką książką do nabożeństwa pod pachą i bijący się w piersi, maczał swe wypielęgnowane palce we krwi generała Schleichera i jego żony i knuł ohydny spisek przeciwko kanclerzowi Dolfusowi. Jestem pewny, że to ten właśnie, ten sam bandyta w pewnej chwili wywinie koziołka i będzie się starał, wygrywając wszystkie swe atuty dżentelmana, swego rodzaju międzynarodowego arystokraty i praktykującego katolika, wejść w rozmowy ze sprzymierzonymi przez wszelkiego rodzaju neutralne kanały, ażeby doprowadzić do "półpokoju" i zbawić te "biedne" Niemcy, które "nigdy nie pragnęły wojny i które były niestety zgwałcone przez niebezpiecznego warjata".

Albo inny specymen należący do tej samej kategorji.

Major Książe Ratibor, noszący jedno z największych nazwisk niemieckich, zajmował stanowisko wojskowe w Poznaniu we wrześniu 1939 i z tego tytułu zainstalował się w klubie polskim, którego był prezesem. Otóż kiedy przeniesiony na inne stanowisko opuścił Poznań, pan ten zabrał sobie na pamiątkę wszystkie meble, obrazy, srebro, szkło i dywany klubu.

I żeby nie mówić o innych zbrodniarzach, chciałbym wymienić jeszcze tylko jeden rodzaj, niemniej niebezpieczny: kobiety i dziewczyny niemieckie.

Ileż znałem tych matron w Berlinie i Potsdamie, dawnych dam dworu cesarskiego, które wielbiły Hitlera, uważając go za apostoła Pana Boga! Ileż znałem młodych kobiet i młodych panien z dobrych domów, należących bądź do arystokracji, bądź do wielkiego mieszczaństwa, jedna piękniejsza od drugiej, które jeździły zagranicę do Francji, Anglji, Włoch i Polski pod pretekstem studjów, które wciskały się do rodzin, przenikały do mieszkań a były poprostu szpiegami Hitlera i Gestapo. Miałem je niestety nawet we własnym domu.

Pamiętam czarującą blondynkę pannę von Laffert i niemniej od niej piękną przyjaciółkę pannę Nehring, mieszkające przez parę miesięcy w domu francuskim w Paryżu gdzie zdania ich były wyrocznią a które były poprostu agentkami oszusta Abetza, najpierw nauczyciela gimnazjum, później zaś ambasadora przy marszałku Petain'ie. Pracowały one dla "zbliżenia kulturalnego" pomiędzy narodem niemieckim i francuskim. Tak. Całe pułki szpiegowskie kobiece pracowały dla Hitlera. Cóż za piękna robota! Cóż za organizacja szatańska! Ale także, miejmy nadzieję, jaka nauka na przyszłość!

Strzeżmy się też w najszerszej mierze "niemieckiego ruchu wolnościowego zagranicą".

Uważam za możliwe, że istnieje procent zresztą minimalny Niemców, którzy nie godzą się z metodami i polityką nazistowską i którzy są anty-hitlerowcami. Nie zapominajmy jednak, że osobnicy ci są i zostaną na zawsze czystej krwi Niemcami i pangermanistami. Nie wierzę, aby istniał jakikolwiek Niemiec, któryby nim nie był. Pangermanizm zakorzeniony w narodzie niemieckim od wieków dąży w gruncie rzeczy do tych samych celów co nazizm i stanowi to samo niebezpieczeństwo dla innych narodów.

Rozważyliśmy oto zasadnicze powody dla których, jeżeli chce się uniknąć nowej wojny, nie można dopuścić do jakiejkolwiek dyskusji na konferencji pokojowej. Prokurator niema zwyczaju dyskutować z mordercą przyłapanym na gorącym uczynku. Przedstawicielom Herrenvolku zostaje więc tylko oczekiwać na ławie zbrodniarzy na jednogłośny werdykt sprzymierzonych.

Nie wystarczy jednak ukarać i wyłączyć przywódców nazistowskich. Jest to niezbedne i o znaczeniu podstawowem dla całej ludzkości, aby ugodzić i ukarać również naród niemiecki.

Jest to czyste szaleństwo albo dowód ignorancji bez granic, uważać, że to tylko partja chciała tej wojny i zrobiła ją.

Oskarżam cały naród niemiecki, mężczyzn i kobiety w przytłaczającej większości, że chciał on wojny, że chciał jej zawsze, zawsze ją przygotowywał, że był zawsze zgodny w prowokowaniu jej, w przedłużaniu, że przyznawał rację wszystkim metodom stosowanym przez swych przywódców.

Jakżeż mielibyśmy zapomnieć tak liczne plebiscyty nakazane przez Fuehrera, w których 99% głosujących wypowiadało się za każdym razem za polityką, systemem i prześladowaniami Hitlera.

Oskarżam żołnierza, oficera, urzędnika, arystokratę i mieszczanina, przemysłowca, handlowca i rolnika, pracodawcę i robotnika, oskarżam taksamo kobiety i dziewczyny niemieckie o współudział w morderstwach, zabójstwach, gwałtach, oszustwach, we wszystkich zboczeniach i okrucieństwach, którym równych nie znali dzicy wojownicy w starożytności.

My którzy byliśmy świadkami tego w Europie, Polacy przeznaczeni przez tych sadystycznych szaleńców na wytępienie a wraz z nami miljony Belgów, Holendrów, Norwegów, Jugosłowian, Greków, nie mówiąc już o Żydach, którzy cierpieli najwięcej—my wszyscy mamy prawo i więcej niż prawo, mamy święty obowiązek podnieść dzisiaj nasz głos w naszem imieniu i w imieniu tysięcy niewinnych ofiar "furor teutonicus", mamy obowiązek wołać i wymagać:

"Dosyć, dosyć marzeń, dosyć filantropji i fałszywego miłosierdzia wobec Niemców. Bóg wie jeden, ileśmy cierpieli. Żądamy kary! Jeżeli naród niemiecki nie będzie ukarany **jako całość** i cały ubezwładniony — znowu zacznie to samo".

Nie jestem utopistą i nie robię sobie żadnych złudzeń co do możliwości, ażeby z czasem przekształcić i zmienić szwabską umysłowość. Jest to poprostu nie do zrobienia, bo jest to niemożliwe. Nikt jeszcze dotąd nie zdołał zmienić dzikiego zwierzęcia w jagnię. Mężowie stanu, w pierwszym rzędzie brytyjscy i amerykańscy, którzy będą dyktować warunki pokoju Niemcom powinni zdać sobie z tego sprawę. Oni to będą odpowiedzialni przed historją. Ciężkie zadanie staje przed nimi. Mam nadzieję, chcę wierzyć, że znajdą środki, aby je rozwiązać.

ZDZISŁAW BRONCEL

Z SONETÓW URALSKICH

CHLEB

Jeszcze nie zeszły gwiazdy, więzione wśród nieba,
Spod księżycowej wachty poza dzienną zonę,
Gdy zrywamy się nocą, cienie przebudzone,
Gnane poprzez ciemności pożądaniem chleba.

Pajdę ciężką, gliniastą, jak uralska gleba,
Chwytają ręce chciwe, a usta spieczone
Każdym kęsem się modlą: "Pod twoją obronę
Uciekamy się, chlebie, w powszednich potrzebach..."

czarną kromką schylmy nisko czoła
I uderzywszy w piersi, przysięgajmy wtedy,
Że gdy po latach błądzeń, w drewnianych postołach

Wrócimy pielgrzymami do ojczystej schedy,
Nauczy nas Sybiru krwią płacona szkoła
Wyorać z pól ugornych kamień polskiej biedy.

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

CZY NAPRAWDĘ MŁODZIEŻ POLSKA W AMERYCE JEST STRACONA DLA POLSKI?

"Farm for sale" — farma na sprzedaż. Zastanowił mnie ten szyld przy drodze. Nie powinno go tu być, bo tu czysto polska okolica farmerska a Polacy na roli amerykańskiej tak samo są wierni matce-ziemi, jak u nas w Kraju. Zatrzymałem samochód przy przydrożnej skrzynce pocztowej. — Wuj Sam we własnej osobie dźwiga blaszaną skrzynkę a na blaszance nazwisko: Harry Davis. Teraz rozumiem: Jankes nie może wytrzymać konkurencji Polaków i sprzedaje farmę. Rzecz zwyczajna w Ameryce. Bo w Ameryce farma — to taki sam business, jak każdy inny. Przybywszy do Stanów nosiłem się z zamiarem zagospodarowania się z rodziną na wsi. Jeździłem wówczas trochę tu i tam i oglądałem farmy. Spodobała mi się jedna ale ta nie była wystawiona na sprzedaż. Zaszedłem jednak i zapytałem właścicielki, czy farma jest do kupienia. "Sure" — odpowiedziała — "W Ameryce każda farma jest na sprzedaż, rozchodzi się tylko o cenę".

Jechałem dalej i czytałem nazwiska na skrzynkach pocztowych: Joseph Konkol, John Barta, Martin Quelo. To "Quelo" to mi trafiło prosto do serca; pełno było Kwelów na Helu. Kwelo — to koło w narzeczu kaszubskiem. A tu naokoło osiedli właśnie Kaszubi.

Wąska, ale dobrze utrzymana droga wiejska wije się pomiędzy pagórkami. Farmy bezpretensjonalne — trochę tak jak u nas w Polsce gospodarstwa chłopskie: — skromny dom mieszkalny, już bardziej starannie zbudowany "barn", t. j. budynek gospodarski, który tu ma charakter uniwersalny: jest to stodoła, śpichrz, obora i wszystko czego potrzeba. Do takiego barnu najczęściej dobudowana jest wieża silosowa — właściwy śpichrz. Każda okolica ma swój styl wieży: okrągłe, prostokątne, przysadziste, wysmukłe, przytem czerwone, białe, czarne, czasem nawet srebrzyste. Na większej farmie barn z wieżą zdaleka przypomina kościół. Naokoło obejścia łysina: same pola uprawne; nie zostawiono nic, coby było nieużytkiem w gospodarstwie. Czasem przy domu można jeszcze spotkać parę drzew owocowych, rzadziej stary klon; a już nigdy prawie nie ogrodzono obejścia przy domu. Tak jak u nas w Polsce — życie rolnika polskiego w Ameryce jest surowe: żadnych zbytków ani pańskich "głupości": kwiatków, krzaczków, ławeczek. Ława prosta przed domem — ot i wszystko. Zato dzieci kupa — bo to przyda się w gospodarstwie. Pan Marcin Quela ma ich szesnaścioro. Zaszedłem do niego — i nie doznałem rozczarowania. Pochodzi z wioski pod Puckiem. Do Ameryki przyjechał, gdy miał osiem lat a mówi wciąż gwarą kaszubską, tak dobrze mi znaną z przedwojennych lat sielankowych.

Parafja polska, która dziś była celem mojej podróży, mieściła się w pobliskiem miasteczku. Słowo "miasteczko" to stanowczo przesadne określenie w danym wypadku. Ot poprostu skrzyżowanie dwóch dróg, punkt na mapie. Z pochyłości widać je jak na dłoni: kilkanaście budynków, przeważnie małych faremek, jeden jedyny "interes": sklep spożywczy, stacja benzynowa i agentura pocztowa w jednej postaci, natomiast dwa kościółki. Skierowałem się do tego skromniejszego, spotkał mnie jednak miły zawód: ten mały — to świątynia Metodystów a kościół polski — to właśnie ten lepszy na górce. Kościółek maleńki ale miły. Od spodu obsadzony dekoracyjnemi drzewkami, trawniki, chodniki. Wszystko domowej roboty a we wszystkiem znać rękę skrzętnego gospodarza. W rogu trawnika minjaturowy domeczek: plebanijka. Nikt nie odpowiada na dzwonek. Nikogo niema także w kościele i w zakrystji. Ale po drugiej stronie kościoła słychać głosy i śmiechy. Wtem pada donośny okrzyk: "Józef, do cholery, upuściłeś mi krokiew na nogę!" — Rzecz dziwna. Niby wciąż kręcę się tu wśród swoich ale ani rusz nie mogę poskromić w sobie emocji przy nieoczekiwanych spotkaniach z Polakami i polskiem słowem. I tym razem zagrało we mnie. Obszedłem kościół. Czterech siwych, wąsatych gospodarzy buduje szopę; piąty — młodszy, siedzi okrakiem na dachu i coś tam majstruje. Na polskie przywitanie ludzie odwrócili się w moją stronę, oddali pozdrowienie a potem znowu powrócili do pracy. Nie przejeli się nieznajomym gościem. Obserwowałem w milczeniu swojską scenę. Ludzie robili jak należy sprawnie i chętnie. Od czasu do czasu któryś rzucił żartobliwe słowo. Ci nie byli Kaszubami; jak potem dowiedziałem się — sami Kujawiacy. Po chwili jeden z nich odłożył piłę, usiadł na kłodzie i zakurzył. I ten nawet szczegół nasz polski: człowiek wydobył z kieszeni tytoń, cieniutki papierek — i zaczął skręcać "papieroskę". Zwrócił się teraz do mnie:

— "A pan skąd będzie?"

— "Z Nowego Jorku. Szukam waszego proboszcza".

Gospodarz ślinił właśnie brzeg papierku. Bez słowa ruchem głowy wskazał na człowieka na dachu.

— "To wasz proboszcz?".

— "Aha..."

Zadarłem głowę do góry:

— "Nie wiedziałem, że to ksiądz proboszcz tam na górze. Chciałbym porozmawiać. Czy długo ksiądz będzie zajęty?"

— "A to pan do mnie? Ja tu prawdę mówiąc na całe popołudnie mam robotę ale już schodzę. Pan pewnie z daleka?"

Dopiero gdy ksiądz stanął obok mnie, zobaczyłem, że mam przed sobą młodego olbrzyma. Ubrany był w czarne poplamione spodnie i białą rozchełstaną na piersi koszulę. Niebieskie oczy patrzyły życzliwie z pod zwichrzonej czupryny. Ksiądz uścisnął mi mocno rękę i poprowadził na plebanję.

— "Co tu budujecie?" — pytałem po drodze.

— "Szopę dla koni. Niech pan nie myśli — nasi ludzie mają kary. Ale w zimie u nas wielkie śniegi, więc wtedy przyjeżdżają do kościoła saniami. Będą teraz mieli gdzie popaść konie".

Gdy usiedliśmy na werandzie, ksiądz przyniósł koszyk jabłek, częstował i pytał:

— "Co sprowadziło gościa w moje progi?"

Wytłomaczyłem z czem przyjechałem. Opowiedziałem także o sobie i moich dziejach. Gdy skończyłem, ksiądz odezwał się:

— "Niestety większego interesu nie zrobimy. Parafijka nasza mała, ludzie do kościoła przyjeżdżają tylko w niedzielę — to i świec palimy niedużo. Mam tam tego przytem parę skrzynek. Ale przecież, że pan z niczem nie odjedzie od nas, proszę mi przysłać jedno pudło świeczek wotywnych — wie pan, takich cieniutkich jak palec, koloru woskowego. Ale proszę nie uciekać ode mnie tak zaraz" — dodał z pośpiechem. — "Powiem ludziom przy szopie, że ich zdradzę na dzisiaj. To tak rzadko się zdarza, że do tego naszego zapadłego kąta przyjedzie kto ze świata a cóż dopiero rodak — i to z Polski!"

— "A jak dawno ksiądz wyjechał z Polski? — zapytałem.

Ksiądz uśmiechnął się:

— "Ja panie nigdy nie byłem w Polsce; urodziłem się w Buffalo".

Nie oczekiwałem takiej odpowiedzi. — Ksiądz mówił po polsku bez zarzutu.

Ksiądz był rad memu zdziwieniu.

— "Pan spotka wśród młodych księży polskich tu urodzonych wielu takich jak ja" — mówił. — "Ja rodzicom moim zawdzięczam, że mówię jak należy po polsku i że czuję po polsku. Było nas ośmioro w domu. Ojciec nasz gdy tylko posłyszał, że które z nas odezwało się do rodzeństwa po angielsku — zaraz buch w zęby. Gdyby nie wojna, to jabym napewno pojechał do Polski, choćby na parę lat. A po wojnie to tembardziej pojadę — już nie tylko dla własnej korzyści i ciekawości, ale żeby pomagać znękanym ludziom. Zobaczy pan — będzie nas wielu młodych księży, którzy pojadą. To przecież nasze powołanie. Jeździmy do Murzynów, do Chińczyków, a do swoichbyśmy mieli nie pojechać? Będziemy potrzebni w Polsce po wojnie".

Długo rozmawialiśmy z sympatycznym księdzem. Przekonałem się, że jego patrjotyczne deklaracje to nie były tylko piękne słowa. Wiedział on dużo o Polsce, naprawdę interesował się wszystkiem, co polskie. Stanęła mi żywo w pamięci rozmowa z przed paru miesiącami ze starym proboszczem, który postawił już krzyż na Polonji w Ameryce, twierdząc, że wszystko stracone i że wysiłek starej generacji księży zmarnowany. Ten dzisiejszy ksiądz zdawał się być zaprzeczeniem pesymizmu tamtego. Zapytałem mego gospodarza o jego zdanie o młodzieży polskiej w Ameryce. Czy naprawdę jest stracona dla sprawy polskiej?

— "Młodzież? Ja panie" — mówił — "na młodzieży właśnie buduję całą moją pracę w parafji. Bogiem a prawdą — nimi stoi parafja, a nie tymi starszymi, których pan widział przy robocie. Ja nic nie mówię na nich; to porządni i pobożni ludzie. Tylko, że ani rusz nie można poruszyć ich z miejsca. A już do roboty narodowej to ich kijem nie zapędzisz. Z Polski wywieźli same złe wspomnienia, są zgorzkniali, zobojętniali. Czy pan wie, że oni są skłonni wierzyć wszystkiemu złemu, co o Polsce rozgłasza wroga nam propaganda? A młodzi — to co innego. Trzeba tylko umieć zabrać się do nich. Jeżeli kto tego nie potrafi — to oczywiście będą obojętni na polskie sprawy. Ale jeżeli podejść do nich jak należy — to wykrzesze się bardzo wiele, przynajmniej z lepszych charakterów. Nie mają żałości starszego pokolenia, a napewno w każdym z nich bije serce polskie i drzemie na dnie duszy coś, czego nie mają w sobie inne narody".

Zdawało mi się, że mi kto skrzydła przypiął, gdy słuchałem młodego księdza. Jest tak właśnie jak mówi: na dnie duszy każdego Polaka drzemią jakieś tajemnicze siły, które potrafią tworzyć cuda — i czasem trzeba poprostu tylko okazji, żeby te siły zaczęły działać. Niedawno naprzykład opowiadano mi o jednym sierżańcie Polaku, nie mówiącym po polsku i nawet nie bardzo pamiętającym o swojem polskiem pochodzeniu. Opowiadał mi o nim jego wuj, ksiądz, który gryzł się tem, że młody chłopak zagubił się narodowo. A oto zdarzyło się, że w pułku inny sierżant powiedział coś złośliwego o wojnie polskiej 1939 roku. Sierżant-Polak sprał koleżkę — ot tak, na wszelki wypadek; a do wuja napisał o tem i prosił, żeby mu przysłano jakikolwiek autentyczny opis kampanji wrześniowej w Polsce — a także słownik angielsko-polski.

W mojej obecnej wędrówce natrafiam na zoraz to nowe przykłady takich i podobnych atawizmów narodowych. Spotkałem kiedyś księdza, już niemłodego, który tu urodził się, a całe życie tęsknił do skowronka, do wierzb — do czegoś, czego niema w Ameryce, a co znał z opisów krajobrazu polskiego. A gdy wreszcie pojechał do Polski — to w Gdyni, po wylądowaniu, szlochał i ziemię całował. A gdy potem z okien pociągu zobaczył polskie słomiane strzechy — pociągnął za hamulec, zatrzymał pociąg, bo chciał odrazu na gorąco pójść do pierwszej z brzegu wioski i coś zrobić dla tych ludzi: zbudować szkołę, czy halę — tak po amerykańsku.

I spotkałem także księdza, który ma 88 lat. Wyjechał z Polski wprost po święceniach kapłańskich i przez 67 lat nie widział kraju. Kazał opowiadać sobie o Wiśle, o dożynkach wiejskich w Polsce, o tem, jak to u nas śnieg skrzypi pod płozami sań i jak konie rżą letnią nocą na pastwisku — i płakał słuchając.

Mój ksiądz dzisiejszy zatrzymał mnie na wieczór i na noc. Wieczorem w hali pod kościołem zebrała się młodzież. Codziennie prawie zbiegali się po pracy do swego proboszcza. "Father Kazy" — jak go młodzież nazywała — był kapitanem drużyny baseball'owej w miasteczku, uczył chłopaków boksu a dziewcząt śpiewu. A dziś był czwartkowy "wieczór polski". Ksiądz mówił o wspaniałej przeszłości Polski, czytano głośno Mickiewicza. Mówiono potem przeważnie po angielsku, bo młodzież nie znała dobrze polskiego.

— "Tego już nie da się osiągnąć, żeby mówili biegle po polsku" — tłomaczył potem proboszcz. — "Chcę tylko oswoić ich z mową polską — i to z językiem literackim — i dlatego czytam im naszych wieszczów. Przedewszystkiem jednak dążę do tego, żeby rozbudzić w nich dumę narodową. I to mi udaje się: moja młodzież szczyci się swojem polskiem pochodzeniem; napewno potem w życiu nie wyprze się nazwiska i przynależności narodowej. Niema w nich kompleksu niższości, który pan widzi u ich ojców".

Kto wie, czy właśnie w tem prostem wnioskowaniu nie leży rozwiązanie problemu polskości w Ameryce. Tak sądzi mój dzisiejszy nowy przyjaciel. — "Uczenie młodzieży, że Polska to wielka rzecz — oto kardynalne powołanie księdza polskiego w Ameryce i zakonnicy polskiej w Ameryce" — powiedział mi w rozmowie.

KONSTANTY SYMONOLEWICZ

KOŚCIUSZKO IN THE AMERICAN REVOLUTION*)



TADEUSZ KOŚCIUSZKO
(portret Lampi'ego znajdujący się w Ambasadzie R. P. w Waszyngtonie)

Bardzo często obfitość literatury popularnej na jakiś temat znajduje się w stosunku odwrotnym do ilości studjów naukowych w tej dziedzinie. W każdej bibljotece polskiej (nawet tutaj w Ameryce) można znaleźć parę książek o Kościuszce ale jeśli się chce mieć dokładny przebieg jego życia i działalności, trzeba sięgać do jedynej jego biografji naukowej, napisanej przez Tadeusza Korzona. Biografja ta, jak już sam archaiczny tytuł świadczy ("Kościuszko. Życiorys z dokumentów wysnuty") ukazała się już bardzo dawno, bo już w r. 1894. Od tego czasu nietylko badania historyczne postąpiły znacznie naprzód, ale i ogólna perspektywa dziejowa uległa zasadniczym zmianom. Nowa biografja Kościuszki jest więc oddawna bardzo pożądaną.

Jednak Naczelnik miał mniej szczęścia do żywotopisarzy, niż jego szef z r. 1792 i swego Askenazego dotąd nie znalazł. Nawet w cennej serji życiorysów wybitnych generałów polskich wieku dziewiętnastego, redagowanej przez prof. Skałkowskiego, poświęcono mu tylko rozprawę krytyczną o zabarwieniu rewizjonistycznem. Wprawdzie te rewizjonistyczne poglądy prof. Skałkowskiego pogromione zostały na IV Zjeździe Historyków Polskich w Poznaniu (1925) ale z dyskusji na temat zasług i charakteru Naczelnika nie zrodziła się żadna nowa wyczerpująca jego biografja. Odłogiem leżała w szczególności historja długiego pobytu Kościuszki w Ameryce, historja, o której Korzon miał wiadomości bardzo ogólnikowe a o której pisał więcej jedynie Wł. M. Kozłowski, wywołując jednak krytykę autora "Życiorysu z dokumentów wysnutego".

W tych warunkach ukazanie się książki M. Haimana, poświęconej pierwszemu pobytowi Kościuszki na ziemi amerykańskiej (1776-1784) i jego działalności w wojnie o wolność Stanów Zjednoczonych jest zjawiskiem niezwykle cennem. Praca ta zasługuje jednak na uwagę nietylko dlatego, że wypełnia dotkliwą lukę w polskiej literaturze historycznej. P. Haiman, autor całego szeregu cennych prac z dziejów Polaków w Ameryce, dał w niej coś więcej, aniżeli streszczenie wyników dotychczasowych badań nad pobytem Kościuszki w Ameryce. Dał żywy i plastyczny obraz jego życia i działalności w ciągu 8 lat służby młodej Republice, który pozwala nietylko poznać barwną i burzliwą epokę rewolucji amerykańskiej ale też wniknąć głęboko w charakter i umysłowość młodego oficera, któremu sądzone było odegrać tak ważną rolę w dziejach swego narodu.

Z książki p. Haimana nie poznajemy Kościuszki jako Naczelnika, nie widzimy go w sukmanie krakowskiej jak na najbardziej rozpowszechnionych portretach. Poznajemy go jako młodego inżyniera wojskowego, cudzoziemca o trudnem do wymówienia nazwisku, który przyjechał za ocean walczyć o wolność i który z trudnością tylko zdobywa sobie w nowem środowisku pozycję, uznanie i sławę. Jakimże jest ten młody Kościuszko, którego ukazuje nam p. Haiman, czy bardzo różni się od tego starszego, którego znamy tak dobrze i którego obraz mamy zawsze w pamięci?

Trzeba stwierdzić, że jest właśnie takim, jakim chcielibyśmy go mieć. Jest szlachetnym, skromnym, ma bardzo dobre serce i odznacza się wielkim hartem ducha i ciała. Jest pozatem nieodrodnem dzieckiem swojego wieku — romantykiem i nieodrodnym synem swego narodu — człowiekiem o wielkiej uczuciowości. Do swoich przełożonych, czy to będzie gen. Gates, czy gen. Greene, czy nawet gen. Heath, z którym związany jest tylko przelotnie, przywiązuje się bardzo gorąco, obejmując swoją sympatją całą ich rodzinę. Zachowuje dla nich niezachwianą lojalność niezależnie od ich stanowiska służbowego i wpływów politycznych, gotów w razie potrzeby (jak w sprawie gen. Gatesa) bronić ich honoru i szablą i piórem, choćby przez to narazić się miał na duże przykrości osobiste. Dla wszystkich przyjaciół ma zawsze serce otwarte, interesuje się żywo ich losem, pamięta o nich i dba o ich pamięć. Dla podwładnych, dla żołnierzy, dla służących — murzynów jest ludzki i życzliwy. Dla siebie surowy i nie wymagający, obywa się byle czem, znosi najcięższe trudy i najgorsze warunki, nie narzekając i nie tracąc humoru. Jest bardzo oszczędny, prawie nie pobiera pensji, aby uzbierać jak najwięcej na powrót do Polski. Jeden zbytek, którego nie może sobie odmówić, to kawa. Przez nią gotów jest nawet naruszyć regulaminy wojskowe, których pozatem nieugięcie się trzyma. Nie bierze do ust ani kropli wódki ale nie jest ascetą, bo pisze bardzo ciepło o "handsome girls and ladies" Południa, w których towarzystwie spędza rzadkie okresy wypoczynku w swej ciężkiej i wyczerpującej służbie i u których cieszy się wielkiem wzięciem jako zawołany portrecista. "Her everybody is in love" — pisze niegramatycznie, ale niewątpliwie szczerze w jednem ze swoich listów.

Z listów tych poznajemy go także jako romantyka. O ile odrywa się w nich od spraw codziennych i wojskowych, pisze stylem romantycznym, przyczem w słowach jego dźwięczy jakaś melancholia przypominająca Malczewskiego. Jest tu i Los i Konieczność i wiele innych podobnych symbolów. "Necessity — pisze melancholijnie w liście do przyjaciela, gen. Williamsa — I wish it was out of dictionary in all languages".

Ale obok tych cech młodości znajdujemy w tym skromnym aż do zbytku oficerze, który nie umie, jak jego koledzy Francuzi, domagać się ani nagród ani promocji, także i te cechy, które zapewniają mu potem nieśmiertelność w dziejach swego narodu. "Ale gdy raz coś przyrzeknie — pisze gen. Gates — jesteśmy pewni go". "Ktoś, jednem słowem — powiada inny jego zwierzchnik, gen. Greene — którego żadna przyjemność nie może uwieść, żadna praca zmęczyć, żadne niebezpieczestwo powstrzymać". "The merit of Col. Kościuszko — stwierdza Superintendent of Finance, R. Morris — is great and acknowledged, his talents brilliant, his zeal unquestioned". "Whose zeal and activity have been equalled by few and exceeded by none" — wtóruje mu gen. Greene. Także i niezwykła skromność Kościuszki budzi podziw i szacunek u jego przełożonych i towarzyszy broni. "What besides — powiada gen. Greene — greatly distinguished him was an unparalleled modesty and entire consciousnes of having done anything extraordinary. Never making a claim or pretension for himself and never omitting to distinguish and commend the merits of others".

Te wyjątkowe cechy charakteru zdobyły Kościuszce uznanie przełożonych i wielu oddanych przyjaciół, nie oszczędziły mu jednak wielu przykrości, o które zresztą w tej burzliwej epoce nie było trudno. Mimo najbardziej pochlebnej opinji o jego wiedzy zawodowej i talencie inżynierskim ("master of his profession" — powiada o nim gen. Greene) musiał długo walczyć o to, aby go nie uzależniono od później przybyłych, młodszych rangą i mniej uzdolnionych inżynierów francuskich. Długo bardzo, dłużej niż wszyscy inni, czekał na szlify generalskie dlatego tylko, że nie chciał o nie prosić ani zabiegać. Niełatwo mu przyszło również wydobyć należne mu wynagrodzenie za służbę. Mimo to wszystko nietylko nie zachował żadnej urazy do kraju, o którego wolność walczył lecz wprost przeciwnie przywiązał się doń całem sercem.

W jednym z listów nazywa siebie "more than half a Yankee", stwierdza też wielokrotnie, że bardzo lubi "Yankee species" (mniej podobają mu się natomiast "Skotches and Irishes"). Gdy zbliża się wyjazd, pisze do Williamsa, że opuszcza Amerykę "with great reluctance", bo zostawia tutaj "very valuable friends, for whom no boundary can be afixed of my affection". "As by long staying here — zwierza się generałowi Greene — I have formed a partiality for this country and for its inhabitants and would equally within feel the sentiment of good patriot upon every occasion". Zapowiada Williamsowi, że jeżeli mu się nie ułożą dobrze stosunki w Polsce, powróci na stałe do Ameryki i prosi go o wyrobienie mu na ten wypadek stanowiska inżyniera naczelnego ze stopniem generała brygady (t. j. tym, jaki przy zwolnieniu otrzymał). Z takiemi myślami i uczuciami wsiada dn. 15. VII.1784 na okręt "Courier de l'Europe", aby w miesiąc później wylądować we Francji.

Przyjechał do Ameryki jako młody nieznany nikomu oficer cudzoziemski (nawet bez porządnych listów rekomendacyjnych), wyjeżdżał jako zasłużony bojownik wolności, wywożąc nietylko sławę i doświadczenie wojenne, ale wiele z tego ducha buntu przeciwko tyranji i niesprawiedliwości, który zrodził rewolucję amerykańską a który był tak bardzo bliski jego własnemu idealistycznemu poglądowi na świat. Można też zgodzić się z p. Haimanem, kiedy powiada, że "American Revolution ultimately shaped Kościuszko's character. It deepened and widened his thought. It taught him the practical meaning of these ideas which were inborn in him."

Nie można zaprzeczyć, że książka p. Haimana nacechowana jest żywą sympatją dla szlachetnej postaci Naczelnika, trzeba jednak podkreślić także, że niema w niej nic z bronzownictwa. Autor jest najzupełniej objektywny, unika wszelkich frazesów, przeplata opowieść bardzo gęsto (może trochę za gęsto) cytatami ze źródeł. Nie wybiera zdarzeń ważniejszych, opowiada wszystko, o czem mówią źródła, uwzględniając nieraz nawet wypadki zupełnie błahe. Tak np. ukazuje nam Kościuszkę nietylko fortyfikującego Saratogę czy prowadzącego podkop pod Ninety Six ale też dekorującego salę balową po zajęciu Charlestown lub iluminującego Filadelfję w siódmą rocznicę Niepodległości Stanów Zjednoczonych (4. VII.1783). Pisze o "inglorious wound", którą otrzymał Kościuszko, uciekając przed nieprzyjacielem, który zaskoczył go nagle podczas zwiadów. Opowiada, jak Washington załatwiał sprawę służącego Kościuszki, cytuje całą polemikę Kościuszki z Carterem etc. Daje jednak przez to wszystko niezwykle żywy i bezpośredni obraz epoki, obyczajów i ludzi, który ogląda się jak zajmujący film.

Czytelnika amerykańskiego książka zapewne nietylko zainteresuje ale nieraz i ubawi, bo angielszczyzna Kościuszki, której w niej sporo, jest dosyć fantastyczna. Widać, że ten inżynier i żołnierz uczył się języka ani z książek ani z czasopism, ani na kursach wieczornych. Widać też, że po 8 latach wszystkich trudności nie zwalczył. Bardzo po polsku używa stale zaimka "you'," jako zaimka liczby pojedyńczej (pisze zawsze: you was itp.) a jakiegoś Burkego nazywa Borek. Całe szczęście, że Amerykanie odwdzięczają mu się z nawiązką niesłychanem przekręcaniem jedynego słowa polskiego, z jakiem się spotkali, mianowicie jego nazwiska. Piszą je najprzeróżniej ale nigdy dobrze.

Trzeba zaznaczyć wreszcie, że książka wydana została niezwykle starannie tak pod względem graficznym, jak i ilustracyjnym. Zdobi ją piękny portret Kościuszki ze zbiorów Ambasady R. P. w Washingtonie, 8 jego rysunków i szkiców oraz dwa facsimile listów.

*By Miecislaus Haiman, Polish Institute Series No. 4, New York, 1943, Str. 198

ZYGMUNT STOJOWSKI

KONCERT SZOPENOWSKI SMETERLINA

Wśród plejady artystów, co wysoko niosą sztandar polskiej sztuki, poczesne miejsce zajmuje Jan Smeterlin. Od lat kilku jak zabłysnął swą gwiazdą na naszym widnokręgu, stale wzrastał jego mir i uważanym jest on dziś za pierwszorzędnego, wykonawcę Szopena. Stanowiłoby to dla nas wartość nielada, gdy pośród walących się tronów, królestwo Szopena z Bożej łaski, zębem czasu i bagnetami zapaśników nietknięte, nadal sprawuje ów "rząd dusz", o którym marzyli współcześni polskiego słowa poeci.

Niezwykłe więc zajęcie budził recital Smeterlinga Szopenowi wyłącznie poświęcony. Radby bez ogródki przyklasnąć zasłudze piszący, gdyby nie to, że w innej wychowany tradycji, inaczej nieraz wyobraża sobie szopenowską prawdę. Wchodzi tu w grę zapewne nierozwiązane nigdy zagadnienie objektywnego czy subjektywnego ujęcia i nieuchwytnej ich granicy. Wynosił pod niebiosa niedawno krytyk pewnego artystę za rzekomą objektywność, potępiając przy tem nietylko grasujące nam wytaczanie własnej wirtuozów jaźni na plan pierwszy kosztem kompozytora i danego utworu lecz nawet wszelką "poezję około poezji" wysnutą przez osobiste wykonawców odczucie. Wystarczyć jakoby winno dokładne a bierne pozostawienie nutom samym własnej ich wymowy. Ideał to, zda się, tylko papierowy. Nie rozumiał wręcz różnicy między objektywnem a subjektywnem ujęciem wielki mistrz fortepianu Antoni Rubinstein. Kto ominąć może dany tekst i obowiązujące w nim prawa? Kto wykluczyć potrafi własne tych praw pojęcie czy odczucie? Wszak nawet nie ten, co żadną nie rozporządzając odtwórczą fantazją, sensu właściwego przeniknąć nie zdoła.

Tekst muzyczny mieści również czynniki poza-muzyczne, emocjonalne czy poetyckie. Panuje mu nieokreślona bliżej aura otaczającego uczucia, z którego był poczęty, a która ożywić musi martwe nut symbole wrażliwego wykonawcy oddechem. Tkwi tu, rzec można, "wnętrzna serca tajemnica" jakby leśnych "mateczników", obca myśliwemu "co zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lica"... Zostaje sobą nieprzetrzebiony las — jak tekst nie oczyszczony z "błędów drukarskich djabłów" tak je trafnie nazywa Niemiec z piekła rodem (winno się własnoręcznej Szopena poprawce grać cnotliwsze S zamiast długo wątpliwego E w trzecim takcie preludjum C- Moll i uprzątnąć z trzeciej części czwartego taktu preludjum B-Dur ćwierć nutę ES zabłąkaną z tenoru do górnego głosu w wydaniu, którego trzyma się Smeterlin). O ile w ustaleniu tekstu obowiązuje świadomą rzeczy objektywność, o tyle wytropieniu zwierza w borze czy jak kto woli odkryciu Boga w naturze, przewodzi subjektywna intuicja, oparta na darze i doświadczeniu myśliwca czy pielgrzyma, uwarunkowana samego artysty miarą i psychiką indywidualną.

Wyposażony świetną perlistą techniką, śpiewnym i barwnym do liryki podatnym tonem, temperamentem wrażliwym i refleksyjnym raczej niż ognistym czy namiętnym, błyszczał Smeterlin w miniaturach technicznych, w lirycznych nastrojach i wdzięku tanecznym. Sposobem przykładu: ślicznie wyszły z pod jego palców walc As-dur, mazurek "Małym żydkiem" zwany lub nadprogramowy C-dur, również wiotka chromatyczna przędza etiudy A-moll (opus 10). Pięknym tonem śpiewało preludjum As-dur, choć brakło może utajonej w nim namiętności. Wspaniale wyszło preludjum Fis-mol, z patetycznie upornym rytmem swej melodji wśród nieprzerwanie towarzyszącej nut ulewy, do którego Liszt odnosi znaną opowieść pani Sand o późnym powrocie z dziećmi czasu burzy i Szopena twórczej halucynacji. "Vox populi" woli jednak wyczuwać "krople dżdżu" w powtarzanych nutach ulubionego preludjum Des-dur, którego część środkowa odznaczała się znakomitem stopniowaniem "crescenda" dramatycznie kontrastującem ze słodyczą pierwszego tematu. Zapewne dla dramatycznego też efektu, zbyt ciężkim krokiem przygniatały basy jakby lękliwy śpiew preludjum A-moll, o którem nieopatrznie niegdyś pisał Kleczyński: "nie grać, bo dziwaczne". Potężnie zaś brzmiało preludjum E-dur, w którym widzą niektórzy samej Polski majestat uosobiony.

Oględnie naogół używa siły Smeterlin a wbrew panującej modzie szybkich temp nie nadużywa, co za cnotę poczytać mu należy. Raczej wolno z miejsca ruszyła sonata H-mol, której części środkowe, powiewne lekkością Scherzo i śpiewny następny jakby nokturn w księżycowej atmosferze skąpany, górowały wymową nad pierwszą częścią o bohaterskim zakroju i nad finałem, którego rwący potok zahamować się nie daje kapryśnym zwolnieniom i "rubatom". Nieco filigranowo brzmiały falujące pasaże końcowej ballady As-dur, apoteoza zaś końcowa ucierpiała nieco z powodu wczesnego rozwinięcia siły w poprzedzającym ją pojedynku dwóch tematów na tle wyżej pnących się fal dźwiękowych.

Wśród mnogości wrażeń pierwszeństwa palmę — z myślą o Majorce skąd w świat poszły — może przyznać należy preludjom, które barwnie się zmieniły w przedziwnym kalejdoskopie swych "orlich piórek", jak je nazywał Schumann. Pięknie ułożony i znakomicie wykonany program ukazywał zresztą przebogatą Szopena naturę we wszystkich jej przejawach, za wyjątkiem męskiego rycerskiego poloneza. Może tu nawiązać wolno uwagę ogólną dla charakterystyki choćby próbnej tylko i względnej podmiotu i przedmiotu. Jak u Schumanna "Florestan i Euzebjusz" tak w romantycznym Szopenie dwoista tkwiła natura i dziedziczność po "mieczu i kądzieli". Trzymały na wodzy namiętność galijską krwią nasycony klasyczny umiar i wykwintna ogłada, lecz zalewa raz poraz gorące słowiańskie uczucie, wybucha jakby wulkanicznym żarem żywiołowa, więziona siła. Nie sprostał może tej ostatniej sam Szopen wirtuoz, przy nadwątlonych siłach fizycznych, lecz podobały mu się, mówił, własne dzieła grane przez Liszta, który był ich pierwszym wykonawcą w wielkim stylu. Chcą niektórzy, by Szopena Muza stale miała blade policzki przy szatach ozdobnych. Lecz Muza ta przemagała zdrowiem nieśmiertelnym i boskiem natchnieniem wątłą oblubieńca postać.

Uwielbiany za życia w salonach paryskich muzyczny "Arbiter-elegantiarum" znalazł niezawodnie w panu Smeterlinie świetnego, mistrzowskiego wykonawcę. Czy ten drugi, żywiołowy i wulkaniczny Szopen jest dlań równie istotny, równie bliski i nieodzowny artyście — przesądzać nie śmiem. Rad jednak przyznaję, że od pierwszego występu Smeterlin bądź znacznie pogłębił własne swe ujęcie, lub może wywarte na piszącym wrażenie. Muzyka zaczyna się pono tam, gdzie kończy się słowo, więc tylko jeszcze poradzę czytelnikowi, by nie omieszkał posłuchać Smeterlina przy najbliższej sposobności, kiedy wszelkie subjektywnej natury problemy rozstrzygnie dlań własna wrażliwość i radość sztuki.

IRENA PIOTROWSKA

POLSKIE KARTY ŚWIĄTECZNE W AMERYCE

W polskich kartach świątecznych rodzimy charakter sztuki polskiej ma możność objawić się w całej pełni. Głębokie czucie religijne oraz nastrój liryczny, jakie przenikały polskie utwory religijne średniowiecza oraz do niedawna jeszcze stworzone świątki ludowe, wyśmienicie nadają się, by wyrazić poetyczność scen Bożego Narodzenia. Tak typowo polskie wyczucie wartości dekoracyjnych w malarstwie jest w zupełnej zgodzie ze stylizacją form, odpowiadających wymogom estetycznym współczesnej karty świątecznej; a żywe, lecz zawsze harmonijnie zestawione barwy, stanowiące istotną część składową sztuki polskiej wogóle, nadają się znakomicie do oddania ducha świątecznego Gwiazdki.

Chociaż sztuka polska zawsze szła ręka w rękę z rozwojem sztuki zachodnio-europejskiej, artyści polscy, kierując się własnemi zamiłowaniami i rodzimym temperamentem, niejednokrotnie wykazywali skłonność do przekształcenia wzorów, przejętych ze sztuki zagranicznej, na swój sposób. To też pomimo że malarstwo polskie było od swych zaczątków w całem swem założeniu naturalistyczne, często zauważyć w niem można silniejsze podkreślanie pierwiastka dekoracyjnego aniżeli na Zachodzie, spostrzec można dalej, że postacie ludzkie mają naogół twarze owiane silnym sentymentem i nastrojem. Te swoiste cechy formy i treści w sztuce polskiej wykazują pewne pokrewieństwo ze sztuką bizantyjską i z malarstwem, które ze sztuki bizantyjskiej się wywodzi. A jednak istnieje między wszelakiemi przejawami sztuki bizantyjskiej a sztuką polską zasadnicza różnica. Sztuka bizantyjska była idealistyczna, zdala trzymająca się od wzorów natury, sztukę polską tymczasem, podobnie jak malarstwo wszystkich państw zachodnio-europejskich, cechuje umiłowanie przyrody, jej piękna i czarów. Łatwo więc zrozumieć, że zarówno forma jak i treść sztuki polskiej są na skutek wgłębiania się w przyrodę, bogatsze i bardziej różnorodne, aniżeli w sztuce bizantyjskiej i w sztuce bezpośrednio na niej wzorującej się.



Rys. Stanisław Ostoja-Chrostowski

Dekoracyjne wartości w malarstwie polskiem były zawsze zasilane przez rodzimą sztukę chłopską. Niewątpliwie także zamiłowanie polskie do jasnego, żywego, przytem harmonijnego kolorytu i skłonność do zestawienia niewielu ale nasyconych barw mają także swe źródło w sztuce ludowej.

W malarstwie polskiem, tworzonem przez artystów zawodowych, elementy swojskie i obce krzyżują się; bądź to trwają obok siebie wrogo i obco, bądź też przenikają się, spajają i wytwarzają nową, zupełnie odrębną całość. W zasadzie, o ile pociąg do zadumy i melancholji uwidacznia się w mniejszym lub większym stopniu w wielkiej ilości polskich obrazów sztalugowych, dekoratywne cechy występują z natury rzeczy najwyraźniej w malowidłach ściennych i ilustracji książkowej. A że karty świąteczne stanowią odmianę sztuki ilustracyjnej, to też rodzime elementy polskie zwycięsko górują w nich nad cechami obcemi.

W Polsce odrodzonej najpiękniejsze karty artystyczne wydawał Jakób Mortkowicz w Warszawie, którego imię pozostanie na zawsze wyryte złotemi głoskami w dziejach polskiej "pięknej książki".

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności siostra jego, p. Edwarda Mortkowicz, przebywała w Nowym Jorku, gdy wojna wybuchła i wkrótce potem poczęła w czyn wprowadzać wiedzę nabytą w księgarni swego brata. Niedawno temu wydała ona serję bardzo pięknych kart gwiazdkowych.

Jedna z tych barwnych kart reprodukuje Matkę Boską Częstochowską, cudowny obraz jasnogórski o wielkiej starożytności, w r. 1430 przemalowany w stylu bizantyjskim. Piękny, do głębi wzruszający wiersz Jana Lechonia, którego słowa odbiły się niezapomnianem echem w sercach wszystkich Polaków, zdobi strony wewnętrzne kartki. Matka Boska Częstochowska była źródłem natchnienia nie tylko zresztą naszych największych poetów, lecz także niezliczonych polskich malarzy religijnych przez wiele wieków i stąd wywarła silny wpływ na ich twórczość. Hieratyczna prostota konturów, dekoratywne potraktowanie szat Madonny i Dzieciątka, pełne współczucia wejrzenie Najśw. Marji Panny, powtarzają się również na obrazach świętych, malowanych przez lud polski. A wreszcie cechy te zostały połączone w nowe oryginalne całości z właściwościami charakterystycznemi dla polskiej sztuki nowoczesnej, a przedewszystkiem dla malarstwa dekoracyjnego — chociaż współcześni polscy malarze religijni zapewne nie zdają sobie często sprawy, jak bardzo daleko wstecz sięgają tradycje ich twórczości.

Rozwój polskiego malarstwa dekoracyjnego, opartego o rodzime motywy ludowe i za ich pośrednictwem odnawiającego najdawniejsze tradycje sztuki polskiej, rozpoczął się na dobre w dwóch pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku, gdy artyści świadomie i celowo zaczęli poszukiwać motywów narodowych w sztuce ludowej. Prawdziwy jednak, wprost niesłychany rezultat tego rozwoju wystąpił dopiero w pracach Zofji Stryjeńskiej, której główna działalność przypada już na dwudziestolecie Polski Odrodzonej, a która wyciągnęła daleko idące konsekwencje ze zdobyczy artystycznych swoich poprzedników i siłą swego talentu wiedziona, zdołała stopić w swych malowidłach ściennych i ilustracjach elementy rodzime z ogólnemi zasadami współczesnej sztuki europejskiej, a pozbawiając prace swe przez to cech zaściankowości, uczyniła je zrozumiałemi dla przedstawicieli wszystkich narodów. Jak wszystko cokolwiek ona stworzyła, tak i jej "Tańce polskie", zdobiące karty świąteczne, są polskie w linji, barwie, ujęciu kompozycyjnem, w interpretacji przedstawionych scen, polskie bujnością temperamentu i poetyckim nastrojem. Równocześnie sposób stylizowania, forma dążąca do silnego uproszczenia, odrzucająca wszelkie szczegóły, a uwzględniająca tylko to, co zasadnicze i istotne, nadaje jej utworom cechy, które charakteryzują wszystkie dzieła twórcze postępowej sztuki zarówno europejskiej jak i amerykańskiej. Karty więc Stryjeńskiej, będąc nawskroś rodzime, są równocześnie ogólnoświatowe w swym charakterze.

Znacznie od niej młodsza Irena Lorentowicz, przedstawicielka pokolenia artystów już w wolnej Polsce kształconych, która zdobyła sobie imię w Polsce, we Francji i wśród sfer polskich Ameryki swemi pięknemi i barwnemi dekoracjami scenicznemi, z natury swego talentu kładzie w swych kartach świątecznych jeszcze większy nacisk na stronę dekoracyjną aniżeli Stryjeńska. Marja Werten zaś, która przybyła do Stanów Zjednoczonych na długo przed wojną, aby dawać kursy na temat szkolnictwa artystycznego i polskiej sztuki stosowanej w szeregu czołowych szkół i instytucyj amerykańskich i która do dziś dnia tej pracy się poświęca, zaprojektowała karty, które swym osobliwym wdziękiem szczególnie przemawiają do psychiki dziecka.

Inny jeszcze charakter posiadają karty wykonane według wzorów Hanki Eryki Góreckiej, młodej artystki amerykańskiej pochodzenia polskiego, której dekoracje figuralne z papieru zjednały sobie uznanie w całej Ameryce. Inspirowana przez polską sztukę ludową, Górecka stworzyła cykl kart świątecznych, przedstawiających postacie ludzkie przybrane w silnie stylizowane stroje ludowe. Radykalnie uproszczone kontury tych figur nadają jej kompozycjom monumentalne, prawie że hieratyczne wartości. Choć ta surowość rysunku jest niewątpliwie odblaskiem abstrakcyjnych tendencyj artystycznych, jakże modnych we współczesnem malarstwie amerykańskiem, harmonizuje ona w przedziwny sposób z zasadami stylizacyjnemi, charakterystycznemi zarówno dla polskiej sztuki ludowej jak i dla naszego nowoczesnego malarstwa dekoracyjnego. Równocześnie przez tę właśnie hieratyczną surowość, rysunki Góreckiej wykazują pewne pokrewieństwo ze sztuką bizantyjską. Stąd stanowią one nietylko ogniwo łączące sztukę amerykańską ze sztuką polską, lecz wiążą także najbardziej nowoczesne formy sztuki z jednem z najstarszych jej przejawów w zakresie malarstwa chrześcijańskiego.



Rys. Hanka Górecka

Podczas gdy karty świąteczne Stryjeńskiej, Ireny Lorentowicz, Marji Werten i Góreckiej dają pełny wyraz zamiłowania do barwy, wrodzonemu sztuce polskiej, karty odtwarzające drzeworyty słynnych polskich grafików, Stanisława Ostoi-Chrostowskiego, Stefana Mrożewskiego i Tadeusza Cieślewskiego, Syna, ograniczają się do plam czarno-białych. Mimo to ani jedna z wartości ornamentacyjnych i ekspresyjnych, jakiemi wyróżniają się polskie karty świąteczne lśniące barwami, nie zatraca się w nich. Mrożewskiego "Pastuszkowie śpiewający kolędy Dzieciątkowi", Chrostowskiego "Madonna z Dzieciątkiem adorowana przez sarenkę", obfitują w liczne dekoracyjne szczegóły i pociągają tym samym lirycznym nastrojem, zamyśleniem postaci i prawdziwie poetycką atmosferą, co karty świąteczne pojęte w kolorze.

W NUMERZE (47) POPRZEDNIM TYGODNIKA POLSKIEGO

Kazimierz Wierzyński: Garść wody (opowiadanie); Jan Lechoń: Skowronek; Bolesław Zubrzycki: Europa i potęgi; Jerzy Tepa: Rozmowa z Dr. Kazimierzem Funkiem; Zygmunt Stojowski: Koncert Wandy Landowskiej; Skrzydła nad czarnym lądem; Opinje i zdarzenia; Listy do redakcji.



WŁADYSŁAW WARNEŃCZYK
(według starej pieczęci rys. J. Matejko)

BOLESŁAW LETYŃSKI

THE CRUSADE OF VARNA

A Discussion of Controversial Problems. By O. Halecki. Polish Institute Series No. 3. New York, 1943. Str. 96

Rozprawa niniejsza miała ukazać się drukiem w r. 1939 jako wydawnictwo Polskiej Akademji Umiejętności. Najazd niemiecki udaremnił jej wydanie, jak tylu innych cennych dzieł naukowych, autorowi udało się jednak zachować szczęśliwie odbitki korektowe, dzięki czemu praca mogła obecnie ukazać się w przekładzie angielskim. Jest to wydarzenie niezwykle pomyślne, bo praca tak ze względu na swoją treść jak i ze względu na swoją wysoką wartość, wywoła niewątpliwie zainteresowanie wśród historyków amerykańskich, którzy o historjografji polskiej wiedzą bardzo niewiele. "Crusade of Varna" bowiem jest to nietylko gruntowne studjum źródłowe, uwzględniające obfitą literaturę przedmiotu w kilku językach europejskich (m. in. węgierskim), ale sui generis arcydzieło techniki dziejopisarskiej, mogące służyć młodym adeptom nauki historycznej jako wzór wnikliwości interpretacji i finezji metod badawczych.

Praca poświęcona jest nader zagmatwanemu zagadnieniu drugiej wyprawy Władysława Warneńczyka na Turków, która skończyła się, jak wiadomo, klęską warneńską (1444), a której historjografja dotychczasowa nie umiała przekonywująco wytłumaczyć. Wedle ogólnie przyjętych poglądów, źródłem których stał się autorytet Długosza, król Władysław Warneńczyk po zwycięskiej wyprawie na Turków w r. 1443 zaprzysiągł pokój z sułtanem, aby w parę dni później złamać swoją przysięgę i wyruszyć na nową wyprawę, zakończoną klęską wojsk chrześcijańskich i śmiercią młodego króla.

Pomijając raczej niezwykły wypadek złamania przysięgi przez jednego z przedstawicieli wysoce religijnej i moralnej dynastji Jagiellonów, poważną wątpliwość nasuwał w tem ujęciu fakt złamania przysięgi w kilka dni po jej złożeniu bez żadnych specjalnych ku temu powodów. Tłumaczono to wprawdzie wpływem najbliższego doradcy młodego króla — legata papieskiego, kardynała J. Cesariniego, który, działając w interesach Rzymu, miał nietylko namówić Jagiellończyka do złamania przysięgi, ale nawet zwolnić go od niej w imieniu Papieża. Mimo wszystko jednak sprawa wyglądała bardzo niejasno i już A. Prochaska kilkadziesiąt lat temu próbował innej interpretacji źródeł, w myśl której młody król ani nie podpisał ani nie zaprzysiągł pokoju z Turkami, wobec czego nie może być pomawiany o złamanie przysięgi. Prochaska nie miał jednak na poparcie swej tezy żadnych nowych danych źródłowych i dlatego poglądy jego nie zostały przyjęte przez naukę.

W r. 1937 młody uczony rumuński, dr. F. Pall ogłosił w języku włoskim ciekawe studjum o Cyriaku z Ancony, włoskim humaniście i podróżniku XV wieku, który na parę miesięcy przed wyprawą warneńską bawił w Adrianopolu (podówczas stolicy sułtańskiej) i w listach pisanych stamtąd i z greckiego jeszcze Konstantynopola omawiał obszernie ówczesne stosunki węgiersko-tureckie. W książce swojej dr. Pall przedrukował szereg takich listów, nie zorjentował się jednak podobnie jak i poprzedni ich wydawcy (listy te były drukowane już kilkakrotnie), że rzucają nowe zupełnie światło na tragedję warneńską. Coprawda na to, aby zdać sobie z tego sprawę, trzeba było odpowiednio te listy porządkować, to zaś mógł zrobić jedynie ktoś obznajomiony gruntownie z całokształtem ówczesnych stosunków węgiersko-turecko-bałkańskich.

Tego właśnie trudnego zadania podjął się w swojej pracy prof. Halecki, wprowadzając poraz pierwszy osobę Cyriaka z Ancony do badań nad stosunkami Warneńczyka z Turcją i wyjaśniając na podstawie wiadomości zawartych w jego listach sprawę rzekomej przysięgi królewskiej i jej "łamania" z poduszczenia kardynała Cesariniego. Z wywodów autora wynika niezbicie, że legenda o przysiędze królewskiej powstała na skutek nieporozumienia.

Na początku r. 1444 po uwerturach pokojowych ze strony Turcji król, ulegając namowom swego sojusznika, despoty serbskiego Jerzego Brankowicza i popierającego go wojewody Hunyadego, zgodził się na wysłanie do Andrianopola poselstwa w celu nawiązania rokowań pokojowych. Zarówno skład poselstwa (brak jakiejś wybitniejszej osoby reprezentującej króla), jak postępowanie króla przed jego wysłaniem i potem świadczą, że istotnym zamiarem króla było raczej dalsze prowadzenie wojny, zaś rokowania pokojowe traktował on li tylko jako manewr dyplomatyczny. Mimo to jednak poselstwo węgiersko-serbskie doprowadziło do ułożenia warunków pokojowych, które zagrożony wojną w Azji sułtan Murat II pośpieszył niezwłocznie zaprzysiąc. Aby traktat wszedł w życie, musieli go ratyfikować jeszcze przez złożenie analogicznej przysięgi król Władysław i despota serbski Brankowicz. Ten ostatni istotnie złożył przysięgę, ale ratyfikacja królewska nigdy nie nastąpiła.

Powodowany zapałem do walki z niewiernymi a także prawdopodobnie i namowami kardynała Cesariniego, młody król odrzucił warunki pokojowe (wcale, nawiasem mówiąc, nie tak świetne, jak to przedstawiała historjografja tradycyjna) i manifestem z Szeged potwierdził swoje dawniejsze przyrzeczenia kontynuowania walki z niewiernymi aż do zwycięskiego końca t. j. aż do wyparcia ich z Eropy. Losy niestety zrządziły jednak inaczej. Wyprawa wbrew wszelkim oczekiwaniom zakończyła się dotkliwą klęską, która nietylko przypieczętowała los padającego cesarstwa bizantyńskiego ale utwierdziła na szereg wieków panowanie Osmanów w Europie.

Wiadomości o rokowaniach pokojowych przed wyprawą i o pokoju zaprzysiężonym przez sułtana rozeszły się po Europie, tworząc legendę o rzekomo obopólnie zaprzysiężonym pokoju, który Jagiellończyk lekkomyślnie naruszył. W tych warunkach klęska, którą ponieśli chrześcijanie, wydawała się sprawiedliwą karą Bożą. Taką właśnie opinję wypowiedział Długosz, za którym poszła cała nieomal nowsza historjografja. Jest rzeczą charakterystyczną jednak, że żadne źródło tureckie nie oskarża króla Władysława o złamanie przysięgi. Ten argument negatywny nie byłby sam przez się wystarczający, gdyby nie relacje Cyriaka z Ancovy, które całą sprawę wyjaśniają.

Relacje te zostały przez prof. Haleckiego ułożone poraz pierwszy we właściwym porządku i przedrukowane w dodatku do książki jako materiał dowodowy. Książka wydana starannie, zaopatrzona została w sumiennie opracowany indeks.

ELŻBIETA KOSSOWSKA

Dzieci brazylijskie w obronie dzieci polskich

(KORESPONDENCJA Z BRAZYLII)

Kiedyś, jeszcze w Polsce, brodząc po gorących łachach wiślanych, obserwowałam stada piskląt ptasich. Było tego setki. Małe, duże, wszystkie nieopierzone, rozkosznie grzebiące się w miękkim, ciepłym piasku. Potrafiłam godzinami leżeć bez ruchu i obserwować pieczołowitość matek, szczebiot małych, bezradne skoki i wielkie otchłanie roztwartych dziobków.

Którejś gorącej niedzieli na taką ptasią łachę przybiła gromadka harcerzy. Wysiadło to z piskiem i z punktu przykucnęło bractwo wokół rozpierzchającej się ptasiej gromady. Po chwili, każdy brzdąc trzymał w małych, opalonych garstkach drące się wrzaskliwie, wystraszone pisklęta. Matki ze zgrozą i kwileniem krążyły nad głowami malców. Chłopcy popatrzyli w górę i zawstydzeni, wypuścili pisklęta. Potem gromadka sprawnie i cicho wsiadła w swe kajaki i odpłynęła. W ptasim państwie zapanował znów świergot i beztroska.

Którejś niedzieli, ach, jakże gorącej! — tu w Brazylii, powędrowałem na leżącą po drugiej stronie rioskiej zatoki po-jezuicką wyspę ptactwa morskiego, które z wrzaskiem pierzcha przed intruzem. Gdy wdrapałam się na dziedziniec klasztorny, zobaczyłam pod rozłożystem, pięknem drzewem gromadkę harcerzy morskich. Dzieci schylone opatrywały złamane skrzydło pisklęcia mewy. Matka zawodziła gdzieś w górze. Przypomniała mi się łacha wiślana. Właściwie zdawało mi się, że widzę dalszą ciąg kajakowej wędrówki polskich małych chłopców. Niczem się właściwie te dzieci nie różniły. Miały takie same opalone łapki i te same troskliwe buzie, schylone nad ptakiem. I takie same dobre serca biją pod harcerskimi mundurkami brazylijskich malców. A biją nietylko dla ptaków. Biją też dla ich małych polskich rówieśników.

W dniu 26-tym września organizacje takie, jak Federacja "As Bandeirantes" (harcerek), Unia Skautów Brazylijskich, Federacja Skautów Morskich, Lotniczych i zespół "Mali Gazeciarze" (w "Casa do Pequeno Jornaleiro") urządziły uroczyste nabożeństwo w kościele Serca Jezusowego, przed ołtarzem z obrazem Częstochowskiej, tonącym w białych liljach, za męczone przez Niemców, dzieci polskie.

Brazylijskie dzieci głośno czytały "Modlitwę za Polskę". Głowy dzieci schylały się nad białemi kartami modlitwy, jak nad rannym ptakiem. Słowa błagalne w ustach dzieci brzmiały jakoś rzewnie i tkliwie ale zdecydowanie. Cieniutki głosik małego z zadartym noskiem gazeciarza zawodził płaczliwie, nie wiem czy dlatego, że deszcz uderzał strugami w kolorowe witraże okien, bił ze zgrozą, jakby zapowiadał dzień surowej zapłaty za zbrodnie zbirów niemieckich. Rudy wyrostek piał słowa modlitwy — piegowata twarz czerwieniała z wysiłku, zielone kocie oczy z pod jasnych rzęs spoglądały połyskliwie w setki świec przy ołtarzu. Głos mu się załamywał ale on wytrwale modlił się za swych rówieśników w dalekiej Polsce.

Dziewczynki w swych białych sukienkach harcerskich wyglądały jak stado gołębi — głośno, zdecydowanie żądały od Boga pomocy dla swych polskich siostrzyc. Córki wolnego kraju modliły się o ich wolność.

Po nabożeństwie, dzieci i młodzież sformowały pochód i z brazylijskim i polskim sztandarem wyszły w ulice miasta, w mokre jeszcze od gwałtownego deszczu ulice. Brazylijskie słońce, łaskawe widocznie dla dzieci polskich, jasnem okiem wyjrzało z za chmur. Mokre kałuże znikały szybko, jakby zawstydzone. Wiatr zaszeleścił w liściach drzew, szarpnął sukienkami i załopotał sztandarami.

Mali, w niebieskich mundurkach gazeciarze, poraz pierwszy w życiu szli w milczeniu, wolno, równie i bez gazet. Buzie mieli poważne. Widocznie dobrze są oczytani w opisach zbrodni niemieckich. Pochód zamykała grupa polskich ochotników i liczni członkowie polskiej kolonji.

Przeszli ulicami miasta pod pomnik Skauta, na Bulwarze Flamengo, gdzie delegacje złożyły wieńce z biało-czerwonych kwiatów. Oddziały harcerzy i młodzież szkolna zajęły całą jezdnię tak, że musiano wstrzymać ruch samochodowy.

Pod pomnikiem przemawiali prof. Joao de Mello e Sousa, prezes Skautów Morskich oraz Komisarz Federacji Stołecznej Skautów. Następnie zabrał głos Poseł R. P. Tadeusz Skowroński, dziękując młodzieży brazylijskiej za piękną i gorącą manifestację solidarności z tępioną i prześladowaną ale i walczącą o swą wolność, młodzieżą polską.

Jak gorąco wzięło do serca sprawę męczeństwa dzieci polskich społeczeństwo brazylijskie, niech poświadczą następujące głosy tutejszej prasy:

W stołecznym "Diaro da Noite" z dn. 26 września b. r. p. Austregesilio de Athayde, w artykule pod tytułem "Śmierć małych skautów", pisze m. in.:

"Rozstrzelanie małych skautów polskich jest jeszcze jednym epizodem okrucieństwa Niemców i barbarzyńskiego instynktu żołnierzy Hitlera. Opór tego Narodu Męczenników rozdrażnia furję nazistowską bezsilną w swej chęci zniweczenia niepokonanej woli Narodu Polskiego. Nie mogąc zniewolić Polaków, Hitler zdecydował się na zniszczenie tych wszystkich sił, których wyrazem jest świadomość narodowa. Skierował swoją furję przeciwko kościołom, uniwersytetom, profesorom i kapłanom. Skierował ją przeciwko dzieciom, które są gwarancją kontynuowania przyszłości Polski. Śmierć skautów jest nowym dowodem patrjotycznego charakteru instytucji Baden Powella".

"Obelga rzucona przez Niemców rani wszystkie dusze i obraża cywilizację wszystkich narodów. Nigdy nie przypuszczałem, by w wieku obecnym mogły być możliwe takie okropności i że cały naród, z najbardziej postępowych w Europie będzie gotów przyjąć odpowiedzialność za tak potworne zbrodnie. Przed małymi skautami polskimi, którzy padli zabici przez nazistów, składamy przysięgę, że nie założymy rąk tak długo, aż wszyscy autorzy tych zbrodni zostaną przykładnie ukarani."

Stołeczne "Correio da Manha" w artykule p. t. "Skauci Polscy" publikowanym w dniu 3 września br., pisze między innemi:

"Wspaniała organizacja Baden-Powella, skauting, w żadnym chyba kraju nie była przyjęta z goretszym entuzjazmem niż to miało miejsce w Polsce. Rycerski duch tego narodu zrozumiał i natychmiast zaakceptował kodeks, który przygotowuje młodzież do ideału służenia i pożyteczności, praktykując wszystkie cnoty moralne i patrjotyczne. W tragicznych dniach oblężenia Warszawy mali skauci zachowywali się wspaniale. Przebiegali ulice bombardowanego miasta, roznosząc rozkazy i instrukcje. Zbierali rannych i materiał sanitarny dla rannych, przebywających w szpitalach. Po okupacji, ci mali bohaterowie nie zrezygnowali w obliczu klęski. Nieugięci, dalej spełniali pracę, której wymagało dobro Ojczyzny. Ta pełna samozaparcia się praca dzieci drażniła Gestapo. Było to wyzwanie rzucone siewcom nowego porządku, iż nawet dzieci chciały być godne ziemi, na której się urodziły. Wiemy już do czego prowadzi drażnienie Gestapo. I oto, Gestapo "bohatersko" rzuciło się na polskich skautów. W Bydgoszczy, jako pierwszy przykład stu z tych malców w wieku między 12-tym a 14-tym rokiem życia zostało rozstrzelanych za zbrodnię należenia do organizacji tak różnej od organizacji młodzieży nazistowskiej i jej imitacji. Zbrodnia ta przeraziła świat cały i — by wykazać swoje oburzenie—wybrano dzień 26 września, jako dzień protestu Narodów Wolnych przeciwko nieludzkiemu i tchórzliwemu traktowaniu dzieci polskich przez Niemców hitlerowskich za zbrodnię w Bydgoszczy. Skauci brazylijscy przyłączą swoje głosy do chóru potępienia barbarzyńskich oprawców hitlerowskich."

Stołeczne rządowe "A Manha" w artykule z dnia 26 września br. pisze:

"Dzień dzisiejszy ma specjalne znaczenie, Jest to dzień protestu wszystkich Narodów Zjednoczonych przeciwko barbarzyńskiemu traktowaniu przez Niemców dzieci i młodzieży w Polsce. W kościołach i na placach publicznych wszystkich krajów, walczących dzisiaj o wolność, celebrowane będą uroczystości patrjotyczne i religijne, aby wyrazić solidarność młodzieży Narodów Wolnych dla ich braci, którzy padli ofiarą tchórzostwa nieprzyjaciela. Jeszcze świeża jest w pamięci wszystkich tragedja stu polskich skautów, którzy padli z podniesioną głową przed plutonami egzekucyjnemi. Ofiara tych młodych nie ujdzie bezkarnie. Tak długo aż nie nadejdzie dzień kary, z serca wszystkiej młodzieży krajów aljanckich płynie ku młodzieży polskiej orędzie solidarności, które im da pewność, iż nie są sami. Dzisiaj dzieci aljanckie składają ręce w modlitwie o ulżenie niewoli ich braci, cierpiących pod jarzmem niemieckiem; jutro te ręce wyciągną się na powitanie młodzieży polskiej i razem, zjednoczeni i wolni pójdą przez ziemię tego wielkiego męczeńskiego narodu, któremu zostanie przywrócona suwerenność. Piękny gest młodzieży brazylijskiej, łączącej się w tych uroczystościach z wielkim ruchem, który święcony jest wśród wszystkich Narodów Zjednoczonych."

Przewodniczący Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, b. wiceprezydent Brazylii, dr. Mello Vianna wystąpił z inicjatywą symbolicznego adoptowania polskich dzieci przez tych, którzy są w możności złożyć ofiarę w wysokości 1,000 cruzeiros.



MANIFESTACJA W OBONIE DZIECI POLSKICH PRZED POMNIKIEM HARCERZA BRAZYLIJSKIEGO W RIO DE JANEIRO

Od lewej p. G. de Mesquita, założycielka Harcerstwa Żeńskiego w Brazylji, prof. B. Libeiro da Cunha, komisarz Konfederacji Harcerstwa Brazylijskiego i min. Dr. T. Skowroński, poseł R. P. w Brazylji.

OPINJE I ZDARZENIA

LISTA OFIAR KATYNSKICH

"Orzeł Biały" organ Armji Polskiej na Wschodzie podaje za "Wieściami Polskiemi" z Budapesztu część listy ofiar zidentyfikowanych w Katyniu. Figurują tam następujące nazwiska:

Bolbat Antoni, kpt. Henryk Duszyński, ppor. Józef Kubiak, Aleksander Knauff, ppor. Stefan Majewski, Stanisław Zubrakowski, Marjan Hejmowski, Leon Malinowski, Ignacy Ziemian, por. Edmund Gauss, Szulborski (brak imienia); ppor. Tomasz Goettinger, Heliodor Henryk Zabik, Antoni Rodziewicz, por. Andrzejewski, inż. Józef Niwiński, Marjan Keński, ppor. broni pancernej Tadeusz Wędrowski, ppor. Witold Wierzbicki, Władysław Sokołowski (ur. w Łystkowicach), Stanisław Miładowski (ur. 1905), Stefan Kowalewski, por. Władysław Stępień, por. Zygmunt Marian Horbowy, ppor. Józef Frelkiewicz, ppor. Zygmunt Oziąbł, ppor. Stanisław Śmiałek, por. Jan Stenkiewicz (ur. w Wilnie 1897), por. Idzi Ludniewicz, Stanisław Wapolewski, Romuald Sobczyński, Stefan Słysz, ppor. Tadeusz Stanisław Lisowski, por. Stanisław Marek Przyjemski, ppor. Roman Marcin Feldt, por. Michał Kobsinski, por. Dr. Michał Gardziński, Jan Filipek, dr. kapitan Józef Woźniak, kpt. Stanisław Zwejszozik (?), kpt. Jan Marian Werner, Józef Kuc-Staśnik, kpt. Edmund Wróblewski, Czesław Orlikowski, Stanisław Pruszczyński, ppor. Bronisław Baran, Piotr Szymczak, por. Bolesław Ruhm, ppłk. lekarz Stefan Franciszek Wąsowski, kpt. dr. Roman Białek, kpt. inż. Wiktor Ficik, Leon Istawka (?), Szymon Iwiński płatnik sztabowy, kpt. dr. med. Pietrasiewicz, ppor. Teodor Bobrowski, ppor. Stanisław Selesos, kpt. Jan Franciszek Raczyński, kpt. Roman Peszka, kpt. Karol Szopa, kpt. Witold Sierpiński, por. Stanisaw Gerlicz, por. lekarz Stefan Wierzejewski, por. Eugenjusz Szmidt, kpt. Roman Postempski, kpt. Aleksander Tyszkiewicz, kpt. lotnictwa Wacław Pielarski, Kazimierz Bankowski, inż. Jan Gajewski, ppor. Władysław Miller, Garstka Henryk nauczyciel, Feliks Wcisło, Lech Słabiński, mjr. Stanisław Trojan, por. Kazimierz Wegen, kpt. Konstanty Anton, kpt. Jan Rzecki, mjr. Walerian Orłowski, kpt. Zygmunt Obrzycki, kpt. Józef Sztyfler, Józef Bielec, ppor. Gerczak, kpt. Dionizy Dzbanowski, ppor. Piotr Martyn, ppor. Brzeziński, por. Stanisław Kaszmerekl, kpt. Piotr Ilkowski, por. Władysław Gabsi, kpt. Janwinc, por. Rudolf Hołowenko, por. Bryn.

Kabała Józef, Ochocki Mieczysław, Soiewski (Sobolewski) Marian por. dr. med. zam. Lublin, Otoromawski Aleksander, por. Antoniak Józef, ppor. Waldemar Kolman, Wilczyński Henryk, Krobowski Konstanty, Waten Stanisław, por. Czarkowski Jan Bolesław, Ryttel Wacław, Łebkowski Józef, Więcławek Kazimierz, Skałecki Józef, ppor. Napieralski Stefan, ppor. Chaberski Władysław, kpt. Kwieciński Mieczysław, Jelonek Józef, por. Ostromęcki Piotr, ppor. Dylewski Tadeusz, por. Hansow Zbyszko Wacław, ppor. Krzywiński witold, por. Winkowski Jan, kpt. Wilkin Kazimierz, kpt. Kossowski Jan Mikołaj, kpt. Nidecki Jan Michał, mjr. Poniatowski Aleksander, mjr. Nowak Marian, mjr. Pigłowski Władysław, kpt. Czołowski Antoni, por. Drzewiecki Władysław Kazimierz, Galeziński Alojzy, Balon Tadeusz.

Ciało gen. Smorawińskiego zostało oddane 18-letniemu synowi jego dla pochowania w grobie rodzinnym. Rodzina uważała zamordowanego generała za będącego przy życiu i przed zerwaniem stosunków niemiecko-sowieckich, posyłała mu stale listy i paczki.

MANIFESTACJA W MANHATTAN CENTER

W zeszłą niedzielę imponująca manifestacja ku uczczeniu dwudziestopięciolecia naszej niepodległości zorganizowana przez 11 głównych organizacji polskich w New Yorku zgromadziła w Manhattan Center kilkutysięczny tłum uchodźczy i wychodźczy bez różnicy przekonań politycznych, a ożywiony jedną myślą i jak rzadko spontanicznie reagujący.

Chwila ciężka, którą przeżywamy odwróciła oczy nasze od przeszłości i kazała je zwrócić ku temu, co się z Polską stanie, a co mimo potężnych sił przeciw nam działających także i bardzo od nas zależy. Nie była więc uroczystość niedzielna banalnym. łzawym obchodem, ale manifestacją woli wszystkich Polaków na emigracji bronienia całości naszej ziemi wszelkiemi środkami i wszędzie gdzie trzeba. Wszyscy mówcy polscy — prezes Węgrzynek, konsul minister Strakacz i premjer Kucharzewski, każdy na swój sposób dawali wyraz tej właśnie woli, oklaskiwani żywiołowo, ilekroć tej właśnie najżywszej sprawy dotknęli. Major La Guardia, znany publicysta Sokolsky, senator Brewster, ambasador Gibson i członkini kongresu pani Jessie Sumner przynieśli nam słowa zrozumienia dla naszych praw i otuchy do walki o nie. W części koncertowej, która była też bardzo poważnie pomyślana wystąpili wielkiej klasy artyści — Horszowski grał Chopina, śpiewał Władysław Kiepura, a Smosarska z niezwykłem poczuciem wiersza, porywająco powiedziała wiersz Hemara "Panie Marszałku Piłsudski".

Manifestacja niedzielna napewno zrobiła swoje, dała bowiem odczuć, gdzie należy, że Polacy nie zgodzą się jak baranki na to co by było bez nich o nich postanowione. I to jest sens takich wystąpień, które powinny wszędzie się teraz odbywać gdzie są Polacy. Inicjatorom obchodu nowojorskiego należy się też za ich trud prawdziwa nasza i powszechna wdzięczność.

ŻYCZENIA JULJANA TUWIMA

Zgodnie z hasłami, głoszonemi przez siebie od dłuższego czasu, Juljan Tuwim wysłał do kongresu przyjaźni sowiecko-amerykańskiej następujący list:

To The Congress of American-Soviet Friendship

Sending my best wishes to this Congress whose purpose is to deepen and cement friendship between U. S. A. and the U. S. S. R., at same time, I express my feeling of envy that we, the Polish refugees in this country, as yet did not attempt to organize a similar conference or congress which would manifest our good will toward establishment of harmonious, good neighborly co-operation between Poland and Soviet Union. "The Apeal to Reason" which was announced in the press few months ago could serve as a basis to develop such a relationship.

With great regret and bitterness I am thinking now, that we Poles to-day, could also celebrate, the tenth, fifteenth or perhaps twenty fifth anniversary of our union or alliance with Soviets — somewhere in a free and beautiful capital of our country. It is my firm belief that harmony and friendship with our eastern neighbor should always be a basic factor in our foreign policy. Unfortunately, this most important task did not receive a due consideration. On the contrary it was neglected to such a degree that as result we have suffered the destruction of our cities, death to millions of our people and the loss of our independence. There is no doubt whatsoever that a military alliance with the Soviet Union would become for Poland a protective wall which Fascist Teutonic hordes never would dare to attack. May be even the peace of the whole world would be saved. I am saying this not in order to condemn anyone — those who are at fault are suffering and dying today together with others — but I want especially to emphasize the fact that equally yesterday, today or tomorrow the friendship and harmony between these two nations was and will be a basic condition of the very existence of free and independent Poland.

As the Moscow Conference has proved we can achieve sincere and friendly understanding with the Soviet Union in view of the fact that two leading democracies, United States and Great Britain, both allies of Poland, would achieve such an understanding. Furthermore I consider that Russia too is a democracy — democracy in the making. If, after centuries of tyranny, backwardness, and isolation, from the rest of the world, a group of one hundred nations is arising to a new life, is uniting into a new community, and is devoting itself to a realization of new ideals, then such a phenomenon cannot occur suddenly. Twenty five years in history is but a second. Such a progress is hard, painful, slow, and marked with blood of suffering people — especially in the face of constant obstacles thrown by the outside world. Under such circumstances during only one quarter of a century the Soviet Union has achieved an enormous progress in its pilgrimage toward a modern democracy of the people. And the magnificent spirit of this great community of two hundred millions of awakened people is best displayed the spirit of Soviet Army and its great victories. No one can fight the enemy with such a devotion, determination and self-sacrifice without realization of great values to struggle for. The enemies of Soviets refer often to supposedly superior western culture. It may be a convenient political slogan, but there is no basis for such a distinction. In reality there is no such thing as an "eastern" or "western" culture — there is only one great human culture — a culture that struggles for a triumph of righteousness, justice and peace on earth. The enemy of that human culture is Fascism, an international Fascism. That is the only division, two sides of the barricade.

I have a deep faith in a democracy of the Polish nation and in a democracy of Soviet peoples. Therefore I believe that we are going to live together in a true, deeply rooted harmony. And I also believe that a co-operation between Poland and Soviet Union will bring Poland closer to all peace-loving nations, with leading British and American nations. And I am convinced that al the differences and conflicts can be settled at the conference table, in the atmosphere of mutual understanding and friendship.

I am sending my cordial and sincere greetings to the heroic Russian people and their victorious armies, and to the Congress I wish the most fruitful results of its work.

Juljan Tuwim.

List Tuwima drukujemy jako dokument.

Jest kwestją przenikliwości politycznej Tuwima wierzyć w rozwój demokracji pod absolutnymi rządami Stalina, zwanymi dyktaturą proletarjatu. Jest kwestją jego wyobraźni politycznej przewidywać wolność i szczęście Polski "w unji lub sojuszu" ze Związkiem Sowieckim. Jest kwestją jego rozumu i sumienia politycznego pojmować wszystko co się dzieje jako winę Polski, która nie zawarła przymierza wojskowego z Rosją i przez to nie ocaliła (may be even) pokoju całego świata. To wszystko jest w pierwszym rzędzie sprawą politycznego talentu i politycznej powagi Tuwima.

Ale sprawą ogólniejszą i bardziej obchodzącą nas wszystkich jest fakt, że poeta wpatrzony w stulecia fenomenu zwanego Rosją i w tej perspektywie pozwalający sobie nie dostrzegać wielowiekowych doświadczeń Polski z jej wschodnim sąsiadem, pisze swój list i składa "życzenia" w czasie, gdy Rosja żąda nowego rozbioru Polski, w czasie jej najperfidniejszej w stosunku do nas polityki i najpodstępniejszych zabiegów dyplomatycznych, w czasie jej zamachów na konstytucyjny rząd polski w Londynie, w czasie oskarżania o faszyzm przywódców narodu walczącego z Niemcami i w czasie bestjalskiego męczenia setek tysięcy obywateli Rzeczypospolitej w więzieniach i obozach.

Ta strona wystąpienia Tuwima obchodzi wszystkich Polaków i to jest w niem najważniejsze. Poeta może być pewny, że trudno nam będzie zapomnieć o jego "najlepszych życzeniach".

"POLISH PRISONERS ARE TREATED WORSE THAN SLAVES..."

Najbardziej oklaskiwanym mówcą na niedzielnym meetingu w nowojorskim Manhattan Center, zorganizowanym dla uczczenia 25-lecia Niepodległości Polski — była posłanka do Kongresu ze stanu Illinois, Mrs. Jessie Sumner.

Oto fragment jej przemówienia, które porwało 4000-ną widownię, wdzięczną za serce, okazane narodowi polskiemu, zrozumienie jego nadwyraz ciężkiej sytuacji i przedstawienie jego cierpień przeszłych i przyszłych opinji amerykańskiej:

..."Polish women and children have endured every kind of cruelty under Stalin and Hitler.

"No doubt Americans have been given a false picture of the situation offered by pepole who didn't know any better. Poles for instance say that Mr. Willkie, whose book paints an enthusiastic acount of the part of Russia called the Republic of Yatrusk evidently missed seeing the mammoth forced-labor camps where Polish prisoners are treated worse than slaves because they hold anti-Communistic political opinions".

Dla porządku należy przypomnieć, że słowa te wygłosił nie "polski faszysta i obszarnik" — lecz reprezentant ludu amerykańskiego w Kongresie Stanów Zjednoczonych.

JUNACY - LOTNICY



Do Anglji przybyła z Bliskiego Wschodu grupa junaków przeznaczonych do Polskiej Szkoły Lotniczej Małoletnich. Młodociani adepci lotnictwa przejdą ogólnokształcące i fachowe wyszkolenie.

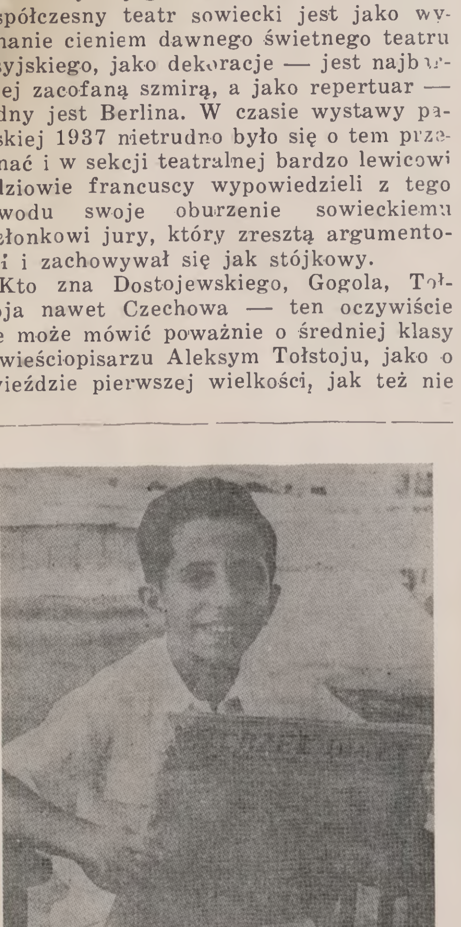
UDANA MISTYFIKACJA

Na każdym kroku mnożą się objawy zupełnie epidemicznego zainteresowania wszystkiem co sowieckie i bezkrytycznej wiary, że wszystko jest nadzwyczajne, co się w Sowietach lęgnie. Ostatnio z okazji zamierzonego wydania przez Columbia University bardzo potrzebnego przeglądu współczesnych literatur europejskich p. t. "The Columbia Dictionary of Modern European Literature" dowiedzieliśmy się, że jednym z najdłuższych artykułów na 10,000 słów będzie artykuł o literaturze sowieckiej, co da możność Amerykanom zapoznania się z szeregiem pisarzy, o których dotąd nic nie wiedzą. Bogu ducha winni czytelnicy tego "obzoru" przeczytawszy aż 10,000 słów o współczesnym pisarstwie bolszewickim — będą napewno przekonani, że w Sowietach kwitnie bujnie młoda twórczość rewolucjonizująca świat, idąca śmiało na poszukiwanie nowych form i odkrywająca nowe prawdy o człowieku. Byłoby dobrze jakoś wyprowadzić ich z błędu i przekonać, że świetność współczesnej sztuki rosyjskiej jest jeszcze jedną, niestety udaną mistyfikacją propagandy sowieckiej, pozwalającej sobie na wszystkie kłamstwa, bo nikt do Rosji nie przeniknie i nikt niczego nie sprawdzi. Rosja jak wiadomo zawsze szła na czele w literaturze, w muzyce i w teatrze. Jedno co można powiedzieć bez obawy przesady — to to. że bolszewicy nie zdołali zupełnie zabić sztuki rosyjskiej, choć zrobili w tym celu wszystko co było w ich mocy, odbierając jej to, bez czego żadna sztuki i wiedza istnieć nie mogą — to znaczy się wolność. Nawet w dziedzinie tak abstrakcyjnej jak muzyka Szostakowicza, którym Rosja dziś chwali się niczem obrona Stalingradu, a o którego niewątpliwym wielkim talencie dopiero powie kiedyś swe ostatnie słowo niezaczadzona propagandą krytyka — również nie uniknął losu niezliczonych twórców rosyjskich — czerwoni faszyści i jego też starali się złamać i zniżyć do swego poziomu; w swoim czasie był skandal, wywołany przez operę Szostakowicza "Lady Mackbeth" jedno z jego najlepszych dzieł, uznane za niemoralne i wyklęte przez partję. Szostakowicz, jak tylu innych "rozkajał się" i teraz tworzy napozór swobodnie, choć nietrudno sobie wyobrazić, jak drżą pod nim kolana, aby kiedyś jakiś rosyjski Goebels nie dosłuchał się w jego nutach "kontrewolucji". Współczesny teatr sowiecki jest jako wykonanie cieniem dawnego świetnego teatru rosyjskiego, jako dekoracje — jest najbardziej zacofaną szmirą, a jako repertuar — godny jest Berlina. W czasie wystawy paryskiej 1937 nietrudno było się o tem przekonać i w sekcji teatralnej bardzo lewicowi sędziowie francuscy wypowiedzieli z tego powodu swoje oburzenie sowieckiemu członkowi jury, który zresztą argumentował i zachowywał się jak stójkowy.

Kto zna Dostojewskiego, Gogola, Tołstoja nawet Czechowa — ten oczywiście nie może mówić poważnie o średniej klasy powieściopisarzu Aleksym Tołstoju, jako o gwieździe pierwszej wielkości, jak też nie będzie mógł się zachwycać duchową atmosferą jego "Piotra Wielkiego", który powinien właściwie ludzi odstraszać od Rosji, gdyby ktokolwiek umiał jeszcze dziś myśleć o Sowietach bezstronnie.

Ci, którzy pamiętają z Polski reportaże i powieści Wandy Wasilewskiej, nie uwierzą też, że pod tchnieniem sowieckiego powietrza urosła ona na pisarza miary Balzaca czy Mereditha, choć wiemy, że w Rosji przeciwstawiana jest obecnie samemu Aleksemu Tołstojowi i zarabia więcej od niego.

To wszystko trzebaby koniecznie kiedyś otwarcie i głośno wygarnąć. Biedni bowiem Amerykanie i Anglicy myślą, że Rosja zapchana jest ludźmi takimi, jak był Racnmaninow, jak jest Kusewicki, którzy robią spokojnie co chcą — gdy tymczasem artysta w Rosji utrzymać się może przy życiu tylko, kryjąc na dnie duszy swe pragnienia i marzenia i sztuka rosyjska dzisiejsza jest tylko cmentarzem dawnej swej świetności.



Mały król Iraku Fajsal II przegląda "Białego Orła" organ Armji Polskiej na Wschodzie.

NAMIĘTNA MIŁOŚĆ

Szef biura WPB Donald Nelson, jak sam opowiada, zakochał się namiętnie w Rosji. Miłość była odwzajemniona i pełna pasji. Podczas jednego z 25 obfitych bankietów w Moskwie jeden z rosyjskich dyplomatów chwycił wielki talerz i powiedział: "Gdy Rosjanie kogoś polubią, na znak tej miłości tłuką talerz" — i rzucił talerz o podłogę. Na to powiedział Nelson: "Gdy Amerykanie kogoś polubią, tłuką dwa talerze" — i trzasnął dwoma talerzami o podłogę. Zachwyceni Rosjanie uściskali go po kolei. Przy tej ceremonji Nelson skaleczył palec. "Nie robiłem sobie z tego nic — oświadczył Nelson — dało mi to okazję powiedzieć, że krew moja była tylko symbolem — nieco krwi amerykańskiej na rosyjskim froncie.

Zachwycające widowisko. Szczególnie dla sojuszników, o których zapomniano w Moskwie.

MUZEUM POLONII

Sprawozdanie kustosza Archiwum i Muzeum Zjednoczenia P. R. K. p. Mieczysława Haimana, złożone na zebraniu Polskiego Tow. Historyczno-muzealnego w dniu 7 go listopada, wykazuje stały, bardzo pomyślny rozwój tej instytucji. Przez Muzeum przewijają goście z dalekich nawet stron, a co najważniejsze, przychodzą tam liczne grupy młodzieży szkolnej. Dotychczasowa frekwencja zwiedzających od dnia otwarcia wynosi blisko 45,000 osób.

W Muzeum pracują studenci i badacze nad materjałami archiwalnemi. Nieustannie nadchodzą na ręce kustosza listy z najdalszych stron kraju z prośbą o materjały i pomoc w pracach naukowych, lub o informacje, głównie z dziedziny historji Polski i Polonji. Tak np. w tym roku Muzeum pomogło w urządzeniu wystawy sztuki polskiej SS. Felicjankom w Detroit; p. L. Van Naromanowi w San Diego, autorowi "Poland. the Knight among Nations", w pracy nad nową książką o Polsce; SS. Bernardynkom w Reading, Pa., w urządzeniu kursu wakacyjnego dla Siόstr o sztuce polskiej; żołnierzom z armji amerykańskiej, poświęcającym się w Uniwersytecie Illinois studjom nad Polską i t. p.

Muzeum urządziło w tym roku 6 wystaw: rysunków F. Topolskiego na temat Conrada, Kopernika, z okazji 70-lecia Z. P. R. K., na cześć Gen. Sikorskiego, korespondencji Tyssowskiego oraz starych druków polskich. Wspólnie z Wydziałem Pomocy Naukowej Z. P. R. K. i Komisją dla badań nad imigracją polską Polskiego Instytutu Naukowego, Muzeum zorganizowało w sezonie zimowym 3 odczyty z zakresu historji Polonji.

Muzeum przygotowuje już do druku katalog poloników w języku angielskim, znajdujących się w bibljotece muzealnej, która prawdopodobnie posiada największy w świecie zbiór tego rodzaju. Na katalogiem tym pracuje Dr. A. S. Wolanin, archiwista Muzeum.

Napływ darów w przedmiotach był bardzo pomyślny. Niemniej korzystny był stan liczebny Polskiego Tow. Hist. Muzealnego. W dniu 1 listopada było 75 członków wieczystów, 128 członków wspierających i 405 członków zwyczajnych. Jest to największa liczba od czasu założenia Pol. Tow. Hist. Muzealnego.

Chlubna i pożyteczna praca Muzeum zasługuje w zupełności na poparcie społeczeństwa. Wszelkie dary w przedmiotach, zwłaszcza w książkach, pamiętnikach, programach, dziełach sztuki i t. p. oraz wszelkie ofiary pieniężne można wysyłać na adres Polish R. C. Union, 984 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.

IRENA LORENTOWICZ WYJEŻDŻA ZE STANÓW

Redakcja "Tygodnika Polskiego" bardzo serdecznie żegna doskonałą artystkę Irenę Lorentowicz, która po dwuletnim wśród nas pobycie w tych dniach opuszcza Stany. Jej działalność wyraziła się głównie w teatrze, który zawsze był pasją i prawdziwą specjalnością artystki; nasz "Teatr Artystów" zawdzięcza Irenie Lorentowicz pełne smaku, znawstwa i pomysłowości, a gdy była okazja jak w "Pastorałkach" i "Echach polskiej ziemi" pełne też polotu i poezji oprawy dekoracyjne i kostjumowe wszystkich granych przez siebie sztuk. Poza tem przecież artystka, nieodrodne dziecko Warszawy nie żałowała nigdy swego czasu i talentu gdy chodziło aby coś stworzyć w dziedzinie sztuki, coś upiększyć, jakąś dobrą inicjatywę poprzeć; od ścian "Ogniska Polskiego" lekko a poetycznie przez nią zdobionych do kartek świątecznych i pięknie na ludowo stylizowanych talerzy nie było dziedziny sztuki stosowanej dla którejby tutaj na uchodźtwie czegoś Irena Lorentowicz nie zdziałała, jakiegoś śladu po sobie nie zostawiła. Niejeden, (o czem mało kto wie) nowojorski i podnowojorski kościół przyozdobił się temi czasy w piękny obraz Ireny Lorentowicz lub pokrył jej polichromją; w iluż klasztorach polskich wykłady i zajęcia praktyczne pod kierunkiem artystki poprostu obudziły smak do zdobnictwa w polskim stylu, który będzie się szerzył nietylko między Polakami i może na tutejszej kulturze plastycznej zaważyć. Doprawdy, że wytarte słowa "cicha zasługa" "mrowcza praca" nie są frazesami, gdy myśli się o plonie pobytu Ireny Lorentowicz w Stanach; dodać też trzeba, że mało który z artystów łączył tak jak ona te zalety z niezamąconą pogodą, koleżeńskością i dobrocią, które jednały tu Irenie Lorentowicz wszystkie, bardzo nawet niełatwe serca.

"Tygodnik Polski" życząc jej sukcesu w nowych jej pracach żegna też w niej cennego współpracownika; zarówno jej pełne sentymentu na wzór starych akwafort i miedziorytów robione rysunki jak jej szkice literackie ciepłe, rzewne i naprawdę poetyczne były ozdobami naszych stronic.

WCIĄŻ ŻAŁOBNA KARTA

Nowa lista zmarłych w Polsce pracowników naszej kultury znaczy ciężką dla naszej wiedzy literackiej stratę: śmierć Stanisława Windakiewicza, wielkiego autorytetu naszej historji literatury, dla teatru zaś bolesny ubytek trzech pracowników zrośniętych całą duszą z Warszawą: "Wicusia" Rapackiego, Juljana Krzewińskiego i Mieczysława Myszkiewicza. Wszyscy trzej należeli poprostu do pejzażu warszawskiego teatru, który stał właśnie na takich jak oni pełnych nietylko talentu, ale zamiłowania, zawsze użytecznych aktorach. W najbliższym numerze poświęcimy im obszerniejsze wspomnienie pióra Antoniego Cwojdzińskiego.

Z DESZCZU POD RYNNĘ...

Niedawno ukazały się w Nowym Jorku broszurki w języku niemieckim wydane przez tajemnicze wydawnictwo "Verlag fuer fremdsprachige Literatur" w Moskwie. Tytuły tych broszur są dość niewinne: — "Ein Ruf an die deutsche Nation" lub "Beratung der nationalen Friedensbewegung in Deutschland" — lecz treść ich i źródło wydawnicze mówią same za siebie i wskazują wyraźnie na cel, którym jest bezsprzecznie propaganda bolszewizmu w Niemczech. Pozatem ujawnione zostało, iż stanowiły one materjał "re-edukacyjny" dla jeńców niemieckich w Z. S. S. R.

Zachodzi pytanie, w jakim celu broszury te przysłano z Moskwy do Nowego Jorku? Stany Zjednoczone drogą specjalnych kursów zapoznają jeńców niemieckich z istotą demokracji, z jej ideologją i zasadami i czerwonych pomocników nie potrzebują, wielu już bowiem ludzi zdaje tu sobie sprawę, że zamiana brunatnej ideologji na czerwoną nie dałaby spodziewanego pokoju w Europie.

W takich wypadkach mówiło się w Polsce: "zamienił stryjek siekierkę na kijek" lub jeszcze prościej: "z deszczu pod rynnę".

POEZJA POLSKA W PRZEKŁADZIE ANGIELSKIM

Młodzież polsko-amerykańska, zorganizowana w Klubie Polskim przy uniwersytecie Columbia, wydaje spory tom poezji polskiej w przekładzie angielskim. Antologja, która ukaże się dzięki inicjatywie państwa Coleman, tak zasłużonych dla kultury polskiej, obejmie wszystkie wieki polskiej poezji. Książka wyjdzie z druku w początkach grudnia i doskonale nanaje się na podarunek gwiazdkowy. Cena $2.00. Zamówienia należy kierować pod adresem: Klub Polski, 505 Philosophy Hall, Columbia University, New York 27, N. Y.

CZY WIECIE, ŻE

Ignacy Paderewski miał szlachecki tytuł angielski, nadany mu przez króla Jerzego V i miał prawo tytułować się "sirem".

Kaplica prywatna papieska w Castelgandolfo ozdobiona jest przez artystę polskiego Jana Henryka Rosena, któremu tę robotę powierzył papież Pius XI.

Niemiecka rodzina książąt Pless — to ostatni potomkowie Piastów.

Metropolita Szeptycki, znany przywódca Ukraińców, jest w prostej linji wnukiem Aleksandra Fredry.

Warunkiem, który był postawiony zarówno Henrykowi Walezemu jak i Stefanowi Batoremu przy objęciu tronu polskiego, było małżeństwo ze starą siostrą Zygmunta Augusta, Anną Jagiellonką.

KALENDARZYK ODCZYTÓW

ODCZYT REKTORA O. HAŁECKIEGO O ROLI INTELIGENCJI W POLSCE

Stowarzyszenie Prawników Polskich w Stanach Zjednoczonych zawiadamia, że w piątek dnia 3 grudnia o godzinie 8 wiecz. odbędzie się w siedzibie Stowarzyszenia (151 East 67 St.) zebranie dyskusyjne, na którem Rektor O. Halecki wygłosi odczyt na temat: "Rola Inteligencji w Polsce."

ODCZYTY ANATOLA MUHLSTEINA

Francuska "Ecole libre des Hautes Etudes" zapowiada na grudzień serję niezwykle dla nas interesujących odczytów Anatola Muhlsteina o problemach polskich, które wygłoszone będą (po francusku) — w piątki 3-go, 10go i 17-go grudnia o godzinie 9ej w New School for Social Research (66 West 12 Street, sala 25) pod przewodnictwem wielkiego uczonego Henri Gregoire'a. 1-y odczyt "Stosunki polsko-niemieckie" w dn. 3 grudnia.

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168
Publishers:
Association of Writers from Poland
Editors:
Zenon Kosidowski
Jan Lechoń
Jerzy Tepa
Kazimierz Wierzyński
Subscription:
Monthly 40 cents
Half yearly — $2.40
Yearly — $4.50